

РОО РІКІЕЛНУВѢ.

MAURZYCY BARRÉS.



POD PIKIELHAUBĄ

przekład z francuskiego

M. Rakowskiej.



WARSZAWA
DRUK A. T. JEZIERSKIEGO NOWY-ŚWIAT 47.
1906

Komputer



BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0077927

K-109/80/M7207

PRZEDMOWA.

Gdy w r. 1885 ukazało się p. t. *Sous l'oeil des Barbares* pierwsze dzieło Maurycyego Barrés'a, znanego dotąd jedynie w zarysach kole przyjaciół z dzielnicy łacińskiej z efemerycznego wydawnictwa, (*Taches d'encre*) którego szpalty wypełniał sam całkowicie, a w którym ujawnił już zalety wytwornego ironisty i umiejętnego dyalektyka—książka ta przyjęta została jak prawdziwe objawienie przez świat literacki i całe zastępy „mózgowców“, jak nazwałby ich sam pisarz. Na arenę piśmiennictwa francuskiego występował mistrz niezaprzeszony, zyskując odrazu gorących zwolenników.

W miarę, jak ukazywały się następne prace młodego autora, zapal rósł i potężniał; wierni jego oddawali mu hołdy niemal bałwochwalcze i nosili z dumą miano *barresistów*.

Nie należy jednak wnioskować ztąd, że odkryli ci wielbicielę pisarza pomiędzy nim a sobą powinowactwo duchowe, wytwarzające prąd sympatii i że

teorye i wywody jego zyskały sobie wstępny-
 jem całkowite ich uznanie. Przeciwnie, wielu z nich
 przy każdej niemal stronie książki wyrwały się
 z ust słowa: „Jak on jest od nas odmienny”. Lecz
 zarówno ci, jak i inni, którzy, łudząc się często nai-
 wnie—odnajdywali w Barrésie siebie, podlegali cza-
 rowi jego formy literackiej. Wszystkich też pocią-
 gał w równej mierze jego umysł jasny, ścisły, prze-
 nikliwy, a rozmiłowany jednocześnie w subtelnej
 analizie rzadkich sensacyi i nastrojów.

Trzy pierwsze dzieła pisarza—wymieniona już
 powieść i dwa następne utwory *L'homme libre* i
Le jardin de Bérénice, tworzące łącznie z nią try-
 logię — są ewangelią egotyzmu. Występuje w nich
 Barrès, jako głosiciel kultu swego „ja”, przedsta-
 wiającego jedyną realną podstawę, na której oprzeć
 możemy naszą działalność.

Owe „ja”—to, według jego określenia, sposób,
 w jaki reagujemy na podniety środowiska i bronimy
 się przed narzucającymi się nam wpływami barba-
 rzyńców. Wyznawcy kultu nie powinni ustawać
 w pracy nad sobą, polegającej na wyzwaniu swej
 istoty z przypadkowych naleciałości i z bogacaniu
 jej przez asymilowanie pokrewnych jej pierwiastków,
 „wszystkiego co *ignie* do niej, gdy pozwalamy dzia-
 łać swobodnie naszym instynktom“.

Łatwo zrozumieć, że w praktyce życiowej mo-
 że i musi prowadzić ta teoria do odrzucenia wsze-
 lkiej moralności obiektywnej, do dyletantyzmu, szu-
 kającego wrażeń niezwykłych, nawet anormalnych,
 byle intensywnych, do nadczułości wobec pewnych
 zjawisk i zupełnego niereagowania na inne.

Wszystkie te objawy obserwujemy u bohate-
 rów Barrès'a: Filipa, występującego na pierwszym
 planie w trylogii i Delrio, głównej postaci przepię-
 knej i wysoce „amoralnej“ opowieści *Un amateur
 d'âmes*, która, wraz z szeregiem wrażeń i szkiców
 z Hiszpanii i Włoszech stanowi zbiorowy tom p. t.
Du sang, de la Volupté et de la mort, streszczający
 najlepiej charakterystyczne cechy niepospolicie od-
 rębnego talentu pisarza i jego dążenia do bada-
 nia mechanizmu duszy ludzkiej w najwięcej nie-
 zwykłych przejawach. Nie pojmuje on rozkoszy
 bez cierpienia, w każdym szczęściu odczuwa gorycz,
 serce jego bije przyspieszonym tętnem, gdy z me-
 lancholijnym jakimś okrucieństwem „jątrzy krwa-
 wiącą się ranę, by uczynić ją więcej bolesną“. Na-
 pawa się z miłosnym uniesieniem śmiertelnym smut-
 kiem krajobrazów *sierry* hiszpańskiej i laguny we-
 neckiej, agonią słońca nad martwą wodą kanałów.
 Trudno wogóle przedstawić sobie ciekawsze obrazy
 natury nad jego pejzaże psychiczne, w których rze-
 czy mają o tyle tylko wagę, o ile wyrażają jakąś
 ideę. I oddają te opisy z zadziwiającą wypukłością
 i prawdą fizjonomię i ducha przyrody i ludzi.

Choć ideolog spojony jest ściśle u Barrès'a
 z artystą, jednakże dla tych, którzy cenią przede-
 wszystkim w pisarzu niezrównanego mistrza formy
 i poetę niezwykłych nastrojów pozostanie *Du sang,
 de la volupté et de la mort* wraz z napisaniem mniej
 więcej w 10 lat później *Amor et dolori sacrum*
 (Śmierć Wenecyi) najbogatszym klejnotem jego twór-
 czości.

Barrès jest nawskroś oryginalny. Nie odbił się

na nim wpływ żadnego z bezpośrednich jego poprzedników, wogóle zaś łączy go powinowactwo duchowe z jednym tylko Stendhalem; ideologia ich wspólną ma podstawę, obaj są wyznawcami egotyzmu i przeprowadzają jego zasady.

Dzieło, które ukazało się po wspaniałych wspomnieniach z podróży do Hiszpanii *Les Déracinés*¹⁾ wprawilo ogół czytający w głębokie zdumienie. Czyżby autorem jego był tenże arystokrata pióra, który, zamknawszy się w wieży z kości słoniowej, zbudował sobie ołtarz i składał na nim swemu „ja“ całopalne ofiary? Barrès występuje w tym utworze jako szermierz nacyonalizmu, a właściwie nawet regjonalizmu, wykazując trwałą łączność jednostki z ziemią, której jest ona kulturalnym wytworem, ze swymi zmarłymi, których głos uczy ją dyscypliny moralnej. Ci, którzy nie budują swego życia intelektualnego na podwalinach dziedzictwa duchowego po przodkach, trwonią na marne siły i tracą zdolność do czynu.

Taż myśl przeprowadza w dwóch następnych utworach *L'Appel au Soldat* i *Leurs figures*²⁾, z których pierwszy jest historią bulanżyzmu, drugi mistrzowsko skreślonym obrazem korrupcyi parlamentarnej i skandalów panamskich. Barrès zapalił się w owej epoce do akcji, wystąpił z programem bulanżystowskim jako kandydat do mandatu poselskie-

¹⁾ Przekład jego wydała *Biblioteka Dzieł Wyborowych* p. t. „Wyrwani z gruntu ojczystego”.

²⁾ Stanowią te dwa dzieła łącznie z „*Déracinés*“ cykl „*Energii Narodowej*”.

go i otrzymał go. Lecz, podobnie jak jego zbyt skomplikowani bohaterowie, nie umiał ścierać się z rzeczywistością i doznał w karierze politycznej tylko goryczy i zawodów, dzięki czemu odzyskała go znowu całkowicie literatura.

Przeprowadzając w cyklu „*Energii narodowej*“ zasady dość ciasnego nacyonalizmu, nie był pisarz, jak sądzono ogólnie, w sprzeczności z samym sobą. Zapowiedź kierunku znajdujemy już bowiem w *Sons l'oeil des Barbares*, gdzie sławiąc rodziną Lotaryngię i uważając się za jeden moment w istnieniu swych zmarłych, cierpi na myśl, że nie oparł swej działalności na żadnej tradycyi w przeszłości. W następnych dziełach powraca też sama myśl w chwilach głębokiej zadumy, by skryształizować się wreszcie ostatecznie w trzech wymienionych powieściach.

Barrès ostatniej doby zaznacza wyraźniej jeszcze swe tendencje regjonalistyczne. Chce być strażnikiem bastyonów Wschodu, których synem uczyniły go losy¹⁾, wyraźnym przedstawicielem gatunku, z którego powstał. Wsłuchuje się w wskazówki, których udzielają mu zmarli, gdyż potrzebna mu reguła życia.

„Miałem—mówi—przesyt w duszy. I postanowiłem zdobyć mą ojczyznę, grób sobie w niej zapewnić, osiąść na wieczyste czasy prawo do słowa *Lotaryngia*, w które chcę wcielić słowo *Barrès*. Nie należy uważać tego wyniku mych rozmyślań za prze-

¹⁾ Urodził się w miasteczku Charmes w Lotaryngii w r. 1862.

jaw zacieśnienia horyzontów. Skupiam się w tem, co stanowi treść mej istoty”.

Opowieść, której podajemy tu przekład, stanowi pierwsze ogniwo w szeregu utworów, mających streszczać dzisiejsze dążenia i porywy pisarza. Czy będzie to już ostateczny wyraz jego twórczości, czy też indywidualność jego, zawsze taż sama, w nowej jeszcze wypowie się postaci? Przewidzieć to trudno. Barres, mający obecnie 43 lata, jest w pełnym rozkwicie sił duchowych i bardzo wiele jeszcze z siebie dać może. Cokolwiek zaś stworzy, będzie to zawsze z pewnością dziełem myśliciela i artysty.

Marya Rakowska.

I.

W krainie „welchów.”

We wrześniu roku 1902-go bawiłem w Lotaryngii, w zaborze pruskim, u przyjaciela lat dziecinnych, hr. d'Aoury. Posiadłość jego znajduje się w pobliżu tchnącego melancholią stawu i niedaleko od wzgórz błotnistych, gdzie biedne budowle osady Tarquimpol rozsiadły się na ruinach rzymskiego miasta Decem Pagi.

Jakkolwiek danem mi było poznać wiele słynących z piękna krain, żadna nie pociąga mnie więcej nad ten zakątek Lotaryngii, usiany stawami. W swem subtelnem wyszlachetnieniu i smutnem opuszczeniu wywiera on na mnie urok nieprzeparty.

W naszej płaszczyźnie lotaryńskiej uderza przede wszystkim oko harmonijne falowanie gruntu i daleko rozwarte widnokreśli. Rozległe błonia, z których nie wystrzela żadne drzewo, ścielą się na szerokiej przestrzeni; tylko tu i owdzie u miękkich zboczy wzgórza tuli się lasek dębowy, lub kępa brzoź smukłych. We wszystkich zagłębieniach rosną wierzby srebrzyste, a u ich stóp lśni zieleń trawy, którą użyźniają wody podziemne. Niema tu nigdzie przepychu, ale jest smak wielki.

Trudno przedstawić sobie krajobraz nacechowany większą prostotą. W ślad za jego linią, rozsuwającą się bez jednego załamu, myśl biegnie za dalekie krańce horyzontu; jednostajne obszary łąk naprowadzają spokój na duszę i mają w sobie moc kojącą; drzewa, rozsiane zrzadka pod niskim stropem niebios, są jak słowa przyjazne, budzące z półuśpienia; drogi proste i równe, wysadzone rzędami topoli, wyglądają niemal uroczyście na tle pól, przez które biegną. Nigdzie natura nie usposabia więcej do skupienia, do słodkiej i melancholijnej zadumy. Jest może to wszystko nieco nikłe, ale wytworna precyzja szczegółów podobać się musi naturom wrażliwym, nie lubującym się w pospolitych efektach.

Czemuż jednak spowija tę ziemię lotaryńską atmosfera klęski? Drzewa chylą się i gną pod podmuchem wiatru, który wyniszcza roślinność. Rzekłbyś, że to jakieś wysokie płaskowzgórze na 600 przynajmniej metrów nad poziom morza wzniesione. To też zabudowania folwarczne i domostwa niskie są wszędzie i przysiadłe, by łatwiej stawiać opór zawiści. Wszystko tu zdaje się poddawać zgodnie spływającej zewsząd melancholii.

Okolica ta pełna jest stawów. Co trzy lata spuszcza je, szlamują i następnie zarybiają. Jest ich pięć większych i mnóstwo małych. Przesycają powietrze wilgocią, która pogłębia jeszcze ciszę i osamotnienie tych ustroni. Nie są ogólnie głębokie; nieraz z samego środka tafli wodnej wytryskują trzciny i trawy, tworzące wysepki zieleni lub niskie szpalery. U wybrzeży o konturach poszarpanych i niewyraźnych kąpią się w fali korzenie dębów i buków. I żaden las dębowy lub bukowy, żadne towarzystwo, kobiece nawet — nasuwa mi na myśl to porównanie czar tej samotni — nie może dać wrażenia większej słodyczy i wytworności nad te altany drzewne, gdzie liście mieniają się wszystkimi tonami jesiennego złota, a gałęzie mają w swem wygięciu miękkość nieskończoną.

Gdy słońce zachodzi nad tą bezludną przestrzenią wód i lasów, z których unosi się lekka woń rozkładu, myślę z pobożnym przejęciem, jak nieskończone skarby niewyrażonego i skupionego uczucia zawiera w sobie ten krajobraz. Jest w nim piętko moralne, cnota nieuzewnętrzniona, jest moc i smutek wielki! Gęste dymy fabryk, ukazujące się z za drzew jesiennych na niskim stropie niebios, nie psują wrażenia i wydają się jak wybuch rozpaczony na tle romantycznej koncepcji życia.

Myśl dziejowa, która wylania się z płaszczyzny lotaryńskiej jest w harmonii z poezją otoczenia. Stykają się tu i współzawodniczą dwie cywilizacje: francuska i niemiecka, geniusz łaciński i geniusz germański walczą o panowanie nad duchem i o każdą piędź ziemi. Los twardy, a jednak błogosławiony sprawił, że ujrzałem życie w Lotaryngii w epoce, gdy walka, tocząca się na tych kresach, większej niż kiedykolwiek od wieków 14-tu nabrała doniosłości. Pozwalając mi urodzić się na terytorium francuskim tej pięknej ziemi, los przysposobił mnie do pojmowania umysłem i odczuwania zarazem sercem z wrażeniem rozkosznego jakiegoś smętku wiekowej pracy przeistaczania się i przetwarzania nieustannego mej ojczyzny.

Podczas tej jesieni oddawałem się poszukiwaniu granicy językowej, trzymając się uczonych wskazówek M. Pfistera. Stwierdziłem, że ta granica przesunęła się na korzyść Niemiec. Mieszkańcy ziem rdzennie łacińskich poczynają mówić po niemiecku pod twardym naciskiem władz administracyjnych. Nad temi porośniętymi sitowiem stawami Lotaryngii, które, choć tak niegłębokie, stawały przez 14 wieków tamę rozrostowi germańskiej gwary, dzieci, w których krew wsiąkla antyczna kultura Metz, belkocą dziś po niemiecku słowa, pozbawione dla welchów wszelkiego głębszego znaczenia.

Ta ludność, która w ciągu długich stuleci mówiła językiem łacińskim, a następnie naszym, nie

umie przystosować się do życia pod zaborem. Wyemigrowała masowo po roku 1870-ym i emigruje w dalszym ciągu. Francya opuszcza tę starą krainę celto-romańską, która na wielkich obszarach zamienia się powoli w pustynię. Niemcy napływają tłumnie do Alzacji; ale unikają osiedlania się w Lotaryngii, czując się w niej obcymi i jakby zgubionymi. W wielu wioskach ilość mieszkańców spadła z 600 na 300. Przemysłowcy sprowadzają tysiące robotników Włochów, właściciele rolni najmują całe zastępy Polaków.

Miałem nieraz sposobność sprawdzić naocznie to wyludnianie się mej ojczyzny podczas przejazdów w okolice, odbywanych w towarzystwie szwagra mego przyjaciela, 25-letniego młodzieńca, który obwoził mię wszędzie samochodem.

Często dojeżdżaliśmy do starej mieściny Marsal, która była bombardowana w roku 1870, a jest położona o dwie mile od Dieuze od strony francuskiej granicy.

Niewymownie bolesnem przejmują wrażeniem wznoszące się na bezbrzeżnej równinie nienaruszone, a już bezużyteczne mury, na które czas nie nałożył piętna malowniczości i spokoju, jaki mają na przykład ruiny feudalne. W obrębie ich wszystko pozostało jak po wojnie: niczego nie zburzono do szczętu, ale też nic nie odbudowano; rząd sprzedał miastu fortyfikacje za 30 tysięcy marek, miasto zaś odnajmuje je komu i jak może na ogrody i pastwiska. Biegają tu kury, o parę kroków dalej kraczą wrony.

Przed wojną ludność miasteczka wynosiła — nie biorąc w rachubę garnizonu — 1,100 mieszkańców; jest ich obecnie sześciuset. Udziela mi tych szczegółów właściciel hotelu, zainstalowanego w dawnym domu komendanta placu; obecnie nabył on za trzy tysiące marek fort Orleański, przedstawiający olbrzymi gmach, do którego należą przylegające doń

16 hektarów ziemi i dwa hektary stawów. Tu i owdzie wzdłuż ulic widać porośnięte pokrzywą zwałiska. Nikt już nie wznosi tu nowych domów, nikt nie odbudowuje tych, które niszczy pożar.

Marsal było typowem miasteczkiem francuskim, świadczy o tem wszystko co zeń pozostało; na widok tych śladów przeszłości, serce ściska się najgłębszym żalem. Tu oto znajdował się Plac Broni, gdzie co niedziela przychodzono tłumnie słuchać muzyki wojskowej; otaczały go czworobokiem topole, których ocalało jeszcze kilka. Zatrzymuję małego chłopczykę o słodkim i poważnym głosie, ładnej i inteligentnej główce i małym podbródku; typ to zwykły w okolicach Metz.

- Czy znasz język niemiecki?—pytam dziecka.
- Nie bardzo.
- A mówisz wogóle po niemiecku?
- Zdarza się... czasami.

Lubię niewymownie to „zdarza się“ w ustach Lotaryńczyków. I roztkliwia mnie nieskończenie to dziecko, zgubione pod napływem germańskiej fali, ta rączyna, wynurzająca się z wód potopu, który zalał naszą wspólną ojczyznę.

Wszystko woła tu wielkim głosem, że germanizm, niszczący wiekową pracę Welchów, obniża poziom cywilizacji. Porównajmy tylko budowle wojenne francuskie z XVIII-go wieku, które widzimy w Marsalu, ich białe fasady, ich linie szlachetne, pełne elegancji i prostoty dzięki doskonałemu zachowaniu proporcji z obrzydliwymi a kosztownymi koszarami, które w niedelekiem poblizu górują nad miastem Dieuze a przekonamy się wymownie, że pod względem kultury zmysłu piękna nie wyszli jeszcze Germani z okresu barbarzyństwa.

W Marsalu wszystko mówi mi o Francji; w innej mieścinie, blizkiej naszej siedziby, odczułem wyraźniej Lotaryngię. Mam na myśli Fénétrange, przemianowane obecnie na Finstingen.

Marszał, ongi obronna placówka imperyi rzymskiej, wczoraj jeszcze posterunek francuski, jest właściwie strażnicą, z której czuwały nad tą równiną żywioły napływowe. Ale Fénétrange to prawdziwy kwiat lotaryńskiej ziemi, wykwitły z pierwiastków czysto miejscowych. Do roku 1791 było to miasto centrum rozległych posiadłości wielkopańskich. Dziś, rzeźkie jeszcze i silne, mimo swego upadku, jest jak zdrowe, krzepkie drzewo, którego korzenie rozsadzają stary kamień grobowy, zdobny w herby. Przed podróżnym, zbliżającym się od strony Falsburga, wylania się to miasto twarde, obronne, a takie jakies szczególne, podobne do potężnej baszty, tkwiącej wpośród łąk, drzew i trzciny, na tle których wije się węzeł Sarra. Mimo iż znikły już otaczające je dawniej rowy, zachowało fizyonomię swych dawnych przeznaczeń i odrzyna się wyraźną linią od otaczających łąk i błoni; gdzieś tam stoją jeszcze strażnice, służące obecnie do najróżnorodniejszych użytków. Sypiący się w gruzy zamek, góruje swą ciężką masą nad całym skupieniem domów; w oknach piętrzą się na pół ich wysokości stopy cegły, lecz są to piękne okna renesansowe; mury wyglądają jak trędem pokryte, ale szlachetne są w liniach.

Podoba mi się ten zamek, już martwy, a jednak dumnie sterczący. Ale w dniach leniwego wypoczynku przemawia do mnie najżywiej to, co przenika duszę tkliwą rzewnością. To też gdy w zimne jesienne poranki błędzę po ulicach Fénétrange i słyszę rozlegający się przed domostwami stuk młotków gospodarzy, wypróbowujących winne kadzie; gdy słyszę wesołe ujadanie psów, prowadzonych na polowanie — wzrusza mię wówczas w tej mieścinie przyznanie się do marności siły, z której się dawniej tak chępiła. Od strony północno-zachodniej czas tylko naruszył jej fortyfikacje i skruszył cement murów, z pod którego ukazuje się nagromadzenie kamieni; łatwo przekonać się, że jedna kula w proch by to wszystko obróciła.

To miasto, w ujęciu walących się wałów jest jak staruszka, która przystraja się zbyt długo w zbrukane i zdarte koronki. Szczytowe dachy wież pokryte są płaskimi, brunatno-czerwonemi ceglami, od których ruchy odbijają czarną plamą; zapadając się z dniem każdym, tworzą te dachy zalamy, podobne do karbów jakiejś wielkiej krezy.

Próbowałem zwiedzać zamek; wstrętne gnojowisko bezcześci jego wewnętrzny podwórzec, szlachetny w proporcyach; sześć rodzin rozkłada w nim swe brudy. Wytworna kaplica panów na Fénétrange zamieniona jest na chlew dla wieprzów, które czynią w niej hałas i zamieszanie, nie pozwalające na przeczytanie napisów na grobowcach.

Lubię zwiedzać Fénétrange, gdy po niebie suną kłęby chmur fioletowych. Ta atmosfera żalobny dość zwykłą jest na wybrzeżach Sarry, bliskich jałowych obszarów i nędznych lasów, którym nadała nazwę alzackiej Syberyi.

Moi gospodarze udawali często na polowanie w odległe od Lindre-Basse okolice Nieder-Stinzlu. Towarzyszyłem im ze względu na zwaliska zamku Geroldseck. Pozostałe z niego kamienie nie mają już formy, ni historyi, lecz cały pejzaż milczenia i smutku, na tle którego zarysowują się te ruiny, podnieca do rozsnuwania przedzy marzeń o miuionych dziejach, rozbudza w duszy dźwięki melodyi życia i śmierci, stawia przed oczy wizję biegu wieków i ich wzajemnej zależności — wszystkiego jednym słowem, co przenika mą duszę, gdy stanę na lotaryńskiej ziemi.

Zwaliska te stoją samotnie w pośród łąk, zacięających rozległą kotlinę, na której stokach rośnie las i pnie się wino. Rowy zamkowe, zasypane gruzami, wyglądają na lekkie koliste wgłębienie, gdzie tam miejscami woda, jak w wyżłobionych przez wozy koleinach; o kilka metrów dalej, na ró-

wnym prawie poziomie z łąką, płynie w wąskim korycie Sarra.

Ilekróć zwiedzałem Geroldseck niebo zasnutę było zawsze ciężkimi chmurami deszczowemi. Moi myśliwi pozostawiali mię samego, a ja wsłuchiwałem się bez końca w skargę tej ruiny, tej zwyciężonej, pozbawionej na pozór głosu i pamięci. Dzieje nie przechowały o niej wspomnienia. Kocham ją, jak piękną obłąkaną, jak cudny wiersz bez treści, w którym pociąga jedynie forma.

Patrząc na ten krajobraz powtarzam sobie, że Chopin był synem Lotaryńczyka i Polki, że w żyłach Wiktora Hugo płynęła krew Lotaryngii i Bretanii, że Claude Gallée jest szczepu lotaryńskiego. Mówią ogólnie, że mamy oschłą i szyderczą duszę, wnioskuje tak z dyskrecyi, z jaką odnosimy się do różnych przejawów życia. A jednak poeta, malarz i muzyk, w których twórczości poezya tryska najbogatszym źródłem, naszą odziedziczyli wrażliwość uczuciową. Nasze dwie nieszczęśliwe księżniczki, Marya Stuart i Marya Antonina, górują wyniosłym romantyzmem nad wszystkimi niewieściami postaciami historyi; wyrasta nad nie chyba jedynie Joanna d'Arc w swej świętej chwale. Nasza дума narodowa znajduje wewnętrzne zadowolenie w świadomości, że w tajemnych źródłach duszy lotaryńskiej czerpały swą siłę najpiękniejsze wykwity życia heroicznego.

Lecz biada nam, jeśli fala barbarzyńska zaleje naszą gallo-romańską krainę, jeśli ulegnie zmianie doskonałe ustosunkowanie ras, które napływ germański uszanował przez 14 wieków.

Gdy myślę o baszcie zamku Geroldseck, o Fénétrange, o Marsalu i Falsburgu, o tych małych forteczkach lotaryńskich, otoczonych niskim kręgiem wałów, wyglądających na ocembrowanie studni, wydają mi się one prawdziwymi studniami,

czerpiącemi wodę w głębiach przeszłości. W starym mieście gallo-romańskim, w zamku feudalnym, w fortecy zbudowanej przez Vauban'a, w cytadeli francuskiej z XIX-go wieku — wszędzie znajduję wytworny smak łaciński z bardzo nieznaczną przymieszką naleciałości germańskich. I oto chcą zatrzeć, zasypać gruzami te odwieczne źródła mej rasy.

II.

Uzasadnienie słynnej nieufności lotaryńskiej.

Przybywając do Lindre-Basse nie miałem określonego projektu studyów. Lecz po dwóch tygodniach pobytu, podczas których napawałem się śmiertelnym smutkiem krajobrazu, począłem z konieczności śledzić za przejawami walki, którą od wieków toczą na tej marchii Francya i Niemcy, tradycya łacińska i tradycya germańska. Fala z za Renu zalewała wszystko i wszystko niszczyła. Nie chcąc uleść przygnębieniu w jakie wprawiała mię sama myśl o tem i pragnąc z drugiej strony wyjść z dziedziny nieokreślonych przypuszczeń, postanowiłem zbierać fakty, stanowiące drobne choćby, ale znamienne dokumenta obecnego stanu rzeczy.

W początku roku 1900-go rząd niemiecko-cesarski zniósł kodeks cywilny francuski, zaprowadzony przed wiekiem w Alzacyi, Lotaryngii i państwach niemieckich lewego wybrzeża Renu, ustanawiając ogólnie obowiązujące prawo niemieckie. Postanowiłem zbadać w jakiej mierze ten nowy kodeks, prawie całkowicie wzorowany na pruskim, wpłynął na zmianę obyczajów i kierunek myśli synów zabranych prowincyi.

Moi gospodarze nie wielką mi w mych poszukiwaniach byli pomocą. Aoury lubił klimat rodziwej Lotaryngii i jej rozległe równiny; trzeźwy w rozumowaniu i wolny od wszelkiej przesady, cenił subtelny i jasny umysł swych współziomków i czuł się między nimi w właściwej atmosferze. Wymagania paszportowe trzymały go jednak długo zdala od tej ziemi. Od dwóch dopiero lat począł powracać jesienią do Lindre-Basse. Nie znał już zupełnie ogólnego stanu rzeczy; mniej mu też chodziło o obserwowanie na miejscu życia, niż o nienasuwanie się na oczy zwycięzcom. Posuwał przytem do ostatecznych granic nieznamość ich języka i obyczajów. Powiedzmy tu odrazu: ta nieświadomość wspólną jest wszystkim synom Lotaryngii i czyni stokroć cięższą ich zależność. Uważają się wskutek niej za oddanych całkowicie i bezwzględnie na łaskę i niełaskę Niemców. Nie umieją stawić oporu na gruncie legalnym. Czują jednocześnie wstręt nieprzeparty, niemal przesadny do wszystkiego co wygląda choć trochę na odrażanie się chępliwą.

Właścicielom Lindre-Basse zależało przede wszystkim na utrzymaniu dobrych stosunków z miejscowemi władzami. Nie było to rzeczą trudną: administracya niemiecka sympatyzuje z klasami wyższymi i trzyma się zasady zjednywania ich sobie dla celów germanizacyjnych. Nieraz, podczas manewrów, gospodarze moi zmuszeni byli przyjmować u swego stołu oficerów pruskich i udzielać im gościnności w zamku. Podziwiali arystokratyczną genealogię tych zwycięzców i sztydziłi z ich braku smaku.

W Lindre-Basse prowadzono takież tryb życia jak zazwyczaj na wsi francuskiej, której Paryż dostarcza wszystkich pierwiastków ożywienia i wellkości. Jakkolwiek urodzona na południu, pani d'Aoury przedstawiała najdoskonalszy i najwięcej elegancki typ 25-letniej Paryżanki. Na użytek go-

ści, przyjeżdżających w sezonie polowania umiała zastosowywać z powodzeniem słowniczek zaczerpniętych u różnych pisarzy sentymentalnych frazeów o zabranych prowincjach. Mąż jej, który nie lubił rzeczypospolitej, wychwalał chętnie w obecności swych gości arystokratyczne tendencje współczesnych Niemiec, faworyzujących interesy wielkiej własności ziemskiej. Nie głosił bynajmniej tych teorii z uznania dla cywilizacji germańskiej; przeciwnie, podlegał do tego stopnia formom myśli francuskiej, że nawet w Lotaryngii odgrywał rolę Francuza z klanu opozycji i szukał w jej życiu argumentów przeciw naszej demokracji.

Miał może poniekąd rację. Rzeczywiście geniusz demokratyczny francuski stawia jako cel urzędzistnienie równości faktycznej wszystkich obywateli. Kodeks napoleoński prowadzi do nieskończonego podziału własności, do wyrwania z gruntu — materialnie i moralnie — synów naszej ziemi; czyni on pracę naszą krótkotrwałą w skutkach i znosi przewodnictwo duchowe rodów, lub, jeśli chcecie, ich wpływy. Niemcy tymczasem umieją stwarzać własność, którą podtrzymują następnie, opierając jej istnienie na właściwych podstawach. Ułatwiają w taki sposób powstawanie autorytetów socjalnych.

Należało mi jednak wejrzeć głębiej w te rzeczy i przekonać się, czy tendencje antydemokratyczne dzisiejszych Niemiec przejawiają się w samych artykułach kodeksu. Chcąc zbadać rzecz tę dokładnie, postanowiłem wejść w stosunki z miejscowymi notaryuszami.

Udzielone przez nich wiadomości, pozwoliły mi stwierdzić, że — w braku szlachty obdarzonej określonymi przywilejami — dążą nowi władcy do stworzenia klasy wielkich posiadaczy, którym ich fortuna zapewnia rozległe wpływy. Dla osiągnięcia tego celu kodeks ich umacnia rodzinę i własność ziemską. Podczas gdy we Francji nie patrzymy dalej

nad terażniejszość, Niemcy chcą, by myśl dzisiejszych pokoleń wydawała plon w przyszłości. Państwo popiera powstawanie wielkiej własności, ułatwiając wymianę parceli; Niemcy słuchają głosu zmarłych i szanują ich wolę, mówiącą do nich z pola grobu; pozwalają tym zmarłym oddziaływać czynnie na żywych.

Obywatel zabranych prowincji nie umiera już, jak się to działo pod panowaniem prawa francuskiego, w przeświadczeniu, że dzieło jego życia ulegnie zagładzie z uszczerbkiem dla jednostki i krzywdą dla społeczeństwa. Nowy kodeks nie daje mu wprawdzie bezwzględnej swobody rozporządzania majątkiem, lecz ogranicza ją w bardzo niewielu wypadkach. Podczas gdy prawo francuskie utrudnia niesłuchanie czynienie zapisów na korzyść zakładów użyteczności publicznej i sprzeciwia się fundowaniu instytucji prywatnych, kodeks niemiecki, obowiązujący w Alzacji i Lotaryngii, ułatwia obracanie majątkiem na cele publiczne i prywatne. Nie ulega wątpliwości, że Statthalter unieważniłby zapis, z którego wyznaczano nagrody młodym Alzatzczykom, zaciągającym się do wojska francuskiego. Biorąc jednak rzecz ogólnie, wolno obywatelowi izackiemu rozporządzać swym majątkiem w jaki tylko zechce sposób. Wolno mu zapewniać posagi swym córkom, wnuczkom, ich całej progeniturze, lub uprzywilejować tych z pomiędzy swych męzkich potomków, którzy wybiorą jakiś określony zawód dla podtrzymania prowadzonych przezeń interesów lub zachowania w całości jego własności. Wolno mu popierać jakie i czyje zechce studia czy rozrywki.

Nowy kodeks nadaje mu jeszcze inne prawa: pozwala mu ustanawiać dziedzictwo przekazowe, czyli rozporządzać swym majątkiem na korzyść wnuków, na których nakłada znów fidei-komisy wobec ich potomstwa, by zapewnić pozostanie własności w ręku członków rodziny w ciągu trzech pokoleń. Któryś z jego prawników będzie mógł w na-

stępstwie — o ile posłucha głosu rozsądku — zabezpieczyć w takiż sposób własność rodzinną. (Spadkobiercy, obejmującemu majątek w takich warunkach, przysługuje prawo korzystania zeń; podlega on tylko pewnym ograniczeniom, mającym na celu zabezpieczenie interesów trzeciej osoby, na której korzyść dokonany został zapis. Ta forma posiadania przedstawia wiele analogii z prawem używalności).

Przyznaję, że podobne fakta przejmują mnie zachwytem. Są one głównymi czynnikami rozgrywającego się obecnie dramatu, najlepszymi i najgłębiej obmyślonymi środkami walki pomiędzy Łacynami a Germanami. Po wodzach przyszli juryści i oto stwierdzamy, że najcelniej puszczane pociski dynamitowe mniej są groźne w skutkach, mniejszą wyrządzą krzywdę staremu, na krzepkich wzniesionemu podstawach gmachowi tradycji francuskiej w Alzacyi i Lotaryngii, niż te szare artykuły kodeksu.

Brat pani d'Aoury, Piotr Le Sourd, obwoził mnie wszędzie samochodem. Ktoś obserwujący go, gdy pędził szybko, gardząc przeszkodami, nie uznając, by jakieś wehikuły, lub ciągnące drogą stada opóźnić go mogły choć na chwilę w tym pośpiesznym biegu — przypuszczałby niezawodnie, że ten 28-letni młodzieniec dąży ku jakiejś przyjemnej rozrywce.

W rzeczywistości posiedzenia moje u notaryuszów w audyli go tylko, powiedziałbym nawet, że go drażniły. I wielokroć zadawałem jurystom niezmiennie moje zapytanie:

— Czy myślisz Pan, że nowy kodeks może wpłynąć na zmodyfikowanie obyczajów? Le Sourd przerywał nam stanowczym tonem człowieka, nie uznającego dyskusyi:

— Porzućcie, szanowni panowie, te próżne wywody. W rezultacie chodzi nam o jedno tylko: czy Alzaccyicy zgodzą się lub nie wziąć w rękę

strzelbę, a choćby i widły, gdy wybije godzina odwetu?

Przyznaję, że słuchałem go z pewnem zadowoleniem, gdy po raz pierwszy przemówił w podobny sposób; lubię stwierdzać u ludzi, pozbawionych zastanowienia przejawy pewnej szlachetności uczuć. Wpředce jednak towarzysz mój począł mię nużyć i drażnić. Zbyt wiele już kosztowało mię trudu wywiedzenie się czegoś od notaryuszów zawodu, pełnych dyskrecyi, podejrzliwych jak wszyscy synowie tej rasy i ostrożnych, jak bywają zazwyczaj zwyciężeni. Rad byłem niezmiernie, gdy ten sympatyczny i niezośny narwaniec przestał towarzyszyć mi do ludzi, do których dostawiał mię jednak stale w swym samochodzie.

Wdzięczny mu jestem wszelako za pokazanie mi krajobrazów Lotaryngii o wszystkich godzinach jesieni, za ułatwienie mi poznania tylu miejscin zapuszczonych i zapomnianych, a najwięcej za uczynienie mnie świadkiem sceny, w której okazał najcałkowitszy brak sensu, ale która pozwoliła mi zrozumieć, jak uzasadnioną jest podejrzliwa nieufność Lotaryńczyków. Dzięki Piotrowi Le Sourd dowiedziałem się i pojąłem dokładnie, że na tem naszym gnębionem pograniczu pozorna wada jest kardynalnym warunkiem istnienia.

Wieczoru tego byliśmy właśnie w Marsalu. Po dłuższej rozmowie z miejscowym notaryuszem wróciliśmy do oberży. Le Sourd stał przy piecu, paląc papierosy, w kącie izby zaś jakiś młody człowiek studyował rozłożoną przed nim na stole mapę. Zwróciłem się do niego, zadając mu kilka pytań, nie dlatego, bym chciał się czegoś dowiedzieć, ale że słodki akcent miejscowy daje mi rozkoszne wrażenie smutku i poezyi. Na nieszczęście młody człowiek był Alzaccykiem. Le Sourd przerwał nam, zapytując czy zebrałem „obfite żniwo.” (Dziwna rzecz zaiste, że uznanie kilku leśniczych wystarcza młodym paniczkom, by natchnąć ich bezgraniczną

pewnością i wiarą w siebie). Odpowiedziałem mu, że dostarczono mi dziś danych, odnośnych do położenia kobiet.

— W umyśle ras północnych—dodałem—nie zakorzeniło się równie głęboko jak u nas pojęcie o wyższości męskiej, to też nie dziwię się, że nowy kodeks niemiecki uwzględnił prawa kobiety. Szczególnie jest jednak, że te nadane im przywileje przeciw nim się odwracają, jak twierdzi notaryusz, od którego wychodzę.

— Mówiliście o kobietach. A czy ów notaryusz powiedział panu, że uciekają ztąd wszystkie przed Prusakami? Zwiedziłem całą mieścinę i nie zobaczyłem jednej młodej twarzy.

— Masz pan rację—zauważył Alzatezyk—dziewczęta tutejsze, które mają zresztą wogóle nadzwyczaj sympatyczną fizyonomię, opuszczają rodzinne kąty i szukają chleba we Francji. Najczęściej udają się najpierw do Nancy, a ztamtąd dopiero do Paryża.

Zauważyłem niejednokrotnie, że Le Sourd nie znosi żadnych wyjaśnień. Z zarzuciła pewnością siebie, sportsmana, chce orzekać ostatecznie w każdej kwestyi, wszystko regulować i decydować o wszystkim. Tak postąpił i teraz. Puszczając raz po raz dym z papierosa, zawyrokował, że dziewczęta lotaryńskie postępują słusznie, emigrując do Francji.

— Bardzo to wątpliwie—wtrącił Alzatezyk—gdyż wiele z nich zaciąga się z konieczności w szeregi prostytutki.

Przytwierdziłem jego słowom, ale z tonu, jaki przybrała rozmowa, wywnioskowałem, iż pora już przerwać, wyszedłem więc, by kazać służącemu zapalić latarnie. Gdy powróciłem Le Sourd oświadczał nieznanomemu, że lepiej pełnić w Paryżu wiadome funkcje, niż rodzić małych Prusaków, pozostając w Alzacji. Gdy zaprotestowałem, ukarał nas, uzupełniając swe poglądy:

— Szanuję więcej—wykrzyknął—jakkolwiek pokierują się oni w następstwie, biedaków, uciekających do Francji, niż renegatów, których strach przed służeniem w Legii cudzoziemskiej skłania do noszenia hełmu pruskiego.

Młody Alzatezyk powstał na te słowa i rzekł ze wzruszającym przejściem, w którym nie było cienia śmieszności:

— Jestem dobrym Alzatezykiem. Za tydzień zaczęę odbywać wojskową powinność w Strasburgu. Żądam, aby pan cofnął wyrazy *renegat* i *strach*, których użyłeś przed chwilą.

Serce ścisnęło mi się bólem na te słowa. W podobnym wypadku przeprosiłbym bez wahania obrażonego przeze mnie człowieka, bo w jednej chwili stanęłyby mi przed oczyma bitwa pod Voerth, oblężenie Strasburga, posiedzenie zgromadzenia narodowego w Bordeaux w dniu 3-go marca i 30 lat ociągania się z odwetem. Zachowanie się Francji w r. 1870-ym nie było takim, by pozwalało nam czynić jakiegokolwiek zarzuty ludziom, których poświęcono dla ocalenia kraju... Ale Le Sourd'owi obcem było zastanowienie. Tam gdzie chodziło o wielki problem moralny, dotyczący życia całego narodu, on myślał tylko o sobie.

— Wiedz pan, że nie mam zwyczaju słów mych cofać. Trzymam się więc tego, co powiedziałem.

Podobna odpowiedź świadczy wymownie, że łatwiej jest znać utarte formuły honoru, niż wiedzieć, gdzie jest honor.

Zaden z młodych ludzi nie miał przy sobie biletów wizytowych; zapisawszy więc nazwiska na kopertach wymienili je ze sobą. Alzatezyk, wręczywszy papier Le Sourd'owi, zwrócił się do mnie, jakby oddając hołd wyższości francuskiej z zapytaniem:

— Czy tak dobrze, panie?

Podczas powrotnej drogi tłómaczyłem memu

upartemu towarzysowi, na jakie przykrości mógł narazić wszystkich jego niespodziewany wybryk. Oświadczył mi na to, że Alzatzyk, noszący pikielhaubę, jest dlań gorszym od Prusaka i że on oświadczenie gotów jest ponieść konsekwencye, które pociągnie jego szczerę wypowiedzenie się w tej kwestyi.

— Ponieś je pan i owszem, ale wiedz, że narażasz jednocześnie szwagra i siostrę na odstąpienie ich przez władze pruskie do granicy.

Przyjaciół mój d'Aoury wyjechał był właśnie w podróż, mającą trwać tydzień. Nie podobna było odkładać załatwienia sprawy do jego powrotu, trudno było również myśleć o wzywaniu go depezą, której musowy lakonizm zaniepokoiłby go niepotrzebnie. Żaden z bawiających w zamku gości nie mógł służyć mi radą ani pomocą. Nie wiele też liczyłem na młodą panią domu, bardzo inteligentną, lecz płochą i tak trwożliwą, że na widok myszy mogłaby wpaść w omdlenie.

Tego wieczoru obiadowano późno w Lindre-Basse, gdyż natychmiast po powrocie z wycieczki posłałem do pani d'Aoury, która przebiegała się właśnie, służącego z kartką, prosząc, by zechciała przyjąć mnie niezwłocznie. Wyszła do mnie do niewielkiego salonu, przylegającego do jej sypialni. Mimo żywego mego zakłopotania patrzyłem na nią z niekłamaną przyjemnością; była pełna wdzięku, ale zarazem podniecona i zaniepokojona, więcej może z powodu przerwanej toalety, niż z racji mej niespodziewanej wizyty.

— Ufam—rzekła—że nie chodzi tu o nic, co by mogło narazić nas na jakąś przykrość.

Pod zewnętrzną, płochą zalotnością ukrywała pani d'Aoury dużo zdrowego rozsądku; przekonałem się o tem niezwłocznie. Zrozumiała w jednej chwili, w jak nieprzyjemną postawiłaby się sytuację wobec męża, gdyby z winy jej brata doszło do odstąpienia całej rodziny do granicy.

— Pan Le Sourd mógłby przeprosić przeciwnika.

— O tem nie może być mowy. Pański Niemiec, jakże się on nazywa?.. (i wziąwszy kartę przeczytała: Paweł Ehrman, student uniwersytetu strasburskiego) jeszcze więcej rozpuściłby język.

— Wybacz pani, ale jakkolwiek nie znam, oczywiście głębi myśli tego Alzatzyka, uważam go za człowieka bardzo przyzwoitego. Zapomina pani, że nie wolno nam czynić tego człowieka odpowiedzialnym za podpisanie przez Francję traktatu frankfurckiego. Cała wina leży w danym wypadku na pani bracie. Ah, gdyby tak Le Sourd zaznajomił się nieco z ogólnym stanem rzeczy w Alzacji i Lotaryngii.

Pani d'Aoury uśmiechnęła się mile, co rozproszyło mój przystęp złego humoru i rzekła, przywołując mię do właściwego przedmiotu rozmowy:

— Piotr pomagał panu w jego studyach w zakresie swych uzdolnień. Nie jest on myślicielem a sportsmanem. Nie staraj się pan nawet nie mu wyjaśniać, ani też żądaj odeń, by przekraczał przeciwnika: zbyt wiele by ci to zabrało czasu. Tacy już jesteśmy w naszej rodzinie. Ja widzę w perspektywie trzy rzeczy łatwiejsze do uskutecznienia: niech ci panowie się biją, niechaj to pozostanie w tajemnicy i niech całe zajście skończy się ostatecznie na zgodzie i przyjaźni stron obu.

— Tak, ale dla doprowadzenia do skutku pojedynku, trzeba czterech świadków i dwóch lekarzy, a samo ich sprowadzenie wystarczy, ażeby roznieść sprawę szeroko i daleko.

— Jesteś pan naszym przyjacielem, a jednocześnie podoba ci się ów pan Ehrman. Ufam pańskim talentom dyplomatycznym.. Gdybyś tak przywiózł tu tego młodego człowieka na herbatę..! Uważasz to za nie możliwe?... A więc dobrze, niech się pojedynkują tu u nas, w parku, a ja nie pozwolę na-

stępnie odjechać Alzatzcykowi, nie ułagodziwszy tej sprawy.

— Powracamy — odparłem — do czasów Homera, gdy boginie przewodziły z obłoków walkom bohaterów.

Skończywszy na tem rozmowę, udaliśmy się do salonu, gdzie oczekiwali goście zamkowi, którzy nie zgodzili się byli usiąść do stołu w nieobecności gospodyni domu. Pani d'Aoury zamieniła kilka słów z bratem; z początku gniewała się nieco, ale wnet poczęła spoglądać nań z uwielbieniem. Przywołali mię do siebie. Le Sourd oświadczył mi z wielką uprzejmością, że zgadza się z góry na wszystko, co zadcujemy wspólnie z jego siostrą, byleśmy tylko nie wymagali odeń żadnych aktów skruchy. Jakkolwiek raził mię w dalszym ciągu u tego barczystego egoisty w smokingu całkowity brak zastanowienia, wypływający z ubóstwa wyobraźni, nie mogłem oprzeć się jednak pewnej dlań sympatii, widząc w nim przedewszystkiem brata tej szlachetnej istoty o umyśle tak otwartym, której jasna twarzyczka nie zasnęła się chmurą, nawet na szcęk oręża.

Jednakże, gdy w dwie godziny później, w noc szkaradnie wilgotną, wsiadłem do samochodu, śpiesząc w towarzystwie mechanika do Fénétrange, gdzie spodziewałem się odnaleźć młodego Alzatzcyka, kłamię całe to zajście. Le Sourd i jego siostra dali stanowczo dowód tępego niewnikania w umysł i serce innych. Ani przez chwilę nie pomyśleli o tak okrutnie zdraśniętej godności ludzkiej i miłości własnej Ehrmana. Uczynili dla mnie zaledwie to ustępstwo, że mówili o nim bez pogardy. Ścisnął mi duszę żal, dręczący, jak bolesny wyrzut sumienia, który wzmógł się jeszcze gdy, stanawszy na miejscu porównałem mimowoli w myśli światło, ciepło i przyjemne ożywienie, panujące w zamku, z całą fizyonomią skromnego zajazdu, gdzie ten obrażony przetrwał pewnie gorzko doznaną obelgę.

Przybyłem do Fénétrauge około godziny 10-ej. Ehrmann wszedł już był na górę. Oberżysta zobaczył z ulicy, że w pokoju świeci się jeszcze i zamówił mu mój bilet, na którym skreśliłem słów kilka. Młody Alzatzcyk nie kazał mi czekać na siebie ani przez chwilę.

W sposób bardzo oględny oznajmiłem mu przedewszystkiem to, co mógł już był sam zauważyć, a mianowicie, że nie solidaryzuję się zupełnie z wystąpieniem mego młodego towarzysza. Odpowiedział mi tonem pełnym godności, że poglądom pana Le Sourd nie brak pewnej szlachetności, choć zdradzają wielką nieznajomość ogólnego stanu rzeczy w Alzacyi i Lotaryngii.

— Taką o nas opinię wszczepili Francyi Alzatzcy, którzy się do niej przyłączyli.

Zatrzymał się. Pragnąłem, by myśl swą rozwinął i uzupełnił. Czy sercem był Niemcem czy Francuzem? Ze słów jego nie mogłem nic wywnioskować wyraźnie. Usiedliśmy do kawy. Ehrmann mileżał i wsparłszy się na rękę, oczekiwał co powiem. Zacząłem mówić przyciszonym głosem, ze względu na znajdujące się w sali osoby.

— Nie przybywam tu w imieniu pana Le Sourd. Gdyby nawet miał zamiar poruczyć mi zajęcie się tą sprawą, odmówiłbym mu stanowczo. Uważam jednak, że byłoby rzeczą ze wszech miar niepożądaną, gdyby to zajście więcej przykre, niż poważne miało pociągnąć za sobą jakieś skutki.

— Daruj pan — przerwał — a w oczach jego zapalił się błysk młodości i woli, ale zwróć ci uwagę, że człowiek, którego nazwano tchórzem, a który biernie znosi tę obelgę, może być rzeczywiście uznany za tchórzeza przez tego, kto go obraził, przez ogół i przez samego siebie. Mam prawo żądać poważnego pojedynku lub przeproszenia. I gdyby pozostawiono mi wybór, pragnąłbym pojedynku.

Nie mogłem nastawać więcej; skłoniłem więc głowę przytwarzając.

— Świadkowie pańscy przedstawiają twe warunki. W przeciwniku swym znajdziesz pan człowieka honoru, za jakiego uważamy również wszyscy pana. Dlatego też nie waham się (i to jest właściwy cel mej wizyty) poprosić cię o wyrządzenie prawdziwej przysługi, nie panu Le Sourd, który da sobie radę, ale jego siostrze i mnie zarazem. Hrabstwo d'Aoury, u których goszczę, przywiązani są bardzo do Lotaryngii. Rozumiesz pan to uczucie. Jeśli słowa ich szwagra dojdą do świadomości ogółu, niewątpliwem jest, że zostaną ztąd wydaleny, a ja wraz z nimi, jak przypuszczam. Gdyby mój przyjaciel d'Aoury był obecnie w zamku, przyjechałby niewątpliwie prosić pana o to, co ja ci proponuję w imieniu jego żony: zgódź się pan upozorować w jakiś sposób swój pojedynek z Le Sourd'em i nie pozwól, by dowiedziano się o istotnych jego powodach. Nie trudno znaleźć jakiś pretekst, dzieje się tak nieraz za wspólną zgodą obu przeciwników.

Ehrmann pragnął przedewszystkiem zachować się jaknajpoprawniej i zyskać nasz szacunek. Z szlachetnem zaufaniem do ludzi, które cechuje młodość, a które zatracamy najczęściej, minawszy 25 rok życia, oświadczył mi, że gotów jest uczynić wszystko, co uznam za stosowne.

Zdecydowaliśmy przeto, coraz więcej głos obniżając, że mój nowy znajomy znajdzie dwóch świadków dyskretnych i pewnych, z którymi przybędzie za dwa dni do zamku, gdzie będzie moim gościem i gdzie w taki czy inny sposób uregulujemy tę smutną sprawę.

III.

Paryżanka w Alzacyi.

Upłynęło dwa dni; nikt w zamku po za panią d'Aoury nie wiedział nic o zaszłych wydarzeniach. Le Sourd pojechał sam do Nancy, z kąd przywiózł szpady, pistolety i dwóch młodych Paryżan, których sprowadził sobie za świadków. Ztamtąd również zawezwaliśmy doktora, nie chcąc narazić niepotrzebnie żadnego z miejscowych eskulapów.

W środę zrana siedzieliśmy wszyscy czworo w salonie na dole naokoło kominka, gdzie płonął ogień drzewny, oczekując Ehrmanna, po którego posłano powóz na stację. Le Sourd i jego przyjaciele radowali się i cieszyli, jakgdyby ich główną funkcją społeczną było szarpanie bliźnich i darcie z nich pasów; wciąż chwytali jeden drugiego na ręce i nieśli ku oknu, chcąc wyrzucać przez nie pozornie.

— Piotrze — rzekł jeden z nich — mam nadzieję, że twoja szpada zostawi dobrą pamiątkę temu kłótliwemu Niemcowi.

Turkot kół, toczących się po źwirze dziedzińca, przerwał ku wielkiej mej ucieście tę rozmowę.

Zgodnie z życzeniem pani d'Aoury wyszedłem na przywitanie młodego Alzateczyka. Ku wielkiemu memu zdziwieniu przybył z jednym tylko towarzyszem, którego przedstawił mi natychmiast.

— D-r Werner; drugi z mych przyjaciół, na którego liczyłem, podróżuje od paru dni w górach, nie mogłem go odnaleźć, nie śmiałem zaś zwrócić się do nikogo innego ze względu na tajemnicę, która miała być zachowaną. Tu, w Alzacyi, musimy wystrzegać się wszystkiego i wszystkich, jest to jedna z najboleśniejszych stron naszego życia. Ale, mam nadzieję, że znajdziecie państwo zaufanego człowieka pomiędzy domownikami, może jakimś ogrodnikiem, dawnego żołnierza...

— Pozwolił pan—odrzekłem—że ja będę twym świadkiem, na moje wszak prośby przedsięwziąłeś te wszystkie ostrożności.

Poprowadziłem Ehrmanna do mego pokoju, a w chwilę potem zebrał się świadkowie.

Wątle już wogóle mieliśmy szanse pokojowego rozwiązania sprawy, gdy zaszła okoliczność, która omal nie zepsuła ostatecznie wszystkiego. Świadkowie Le Sourd'a twierdzili, że ich przyjaciel nie mógł chcieć obrazić rozmyślnie pana Ehrmanna, nie znając go osobiście; wypowiedział jedynie swe ogólne zapatrywanie na stan rzeczy w Alzacyi. D-r Werner zachnął się na to, wykrzykując, że on również odbył służbę wojskową w pruskich koszarach i że pogląd pana Le Sourd'a niczem zresztą nieuzasadniony, ubliża jednakowo wszystkim Alzateczykom. Wobec podobnego oświadczenia nie pozostawało nam do uczynienia nic więcej, jak przyspieszyć pojedynek, by uniknąć drugiego.

Daleko jest nieraz przykrejszem być świadkiem jakiegoś zajścia, niż czynną w nim brać stronę. Człowiek, pojedynkujący się, nie ma wprost czasu dać folgi swej wyobraźni, ani rozmyślać nad położeniem. Jeśli nienawidzi przytem swego przeciw-

nika, znajduje w spotkaniu z nim wielką rozkosz lub szuka jej przynajmniej.

Postanowiliśmy udać się na miejsce spotkania małemi grupkami, by nie zwracać uwagi mieszkańcóm zamku. Krocząc przez park w towarzystwie Ehrmanna, rozmyślałem, że ja sam i inni Francuzi, wmieszani w tę sprawę, odgrywaliśmy w niej jednakże bardzo brzydką rolę. Występując przeciw Alzateczykowi, przyznawaliśmy słusność traktatowi frankfurckiemu, i to w sposób ohydny.

Przybyliśmy pierwsi na skraj parku, gdzie miał się odbyć pojedynek. Szeroka aleja prowadziła do niskiej furtki w murze, który dzielił nas od gościńca. Wsparłszy się o nią, zapaliliśmy papierosy i spoglądaliśmy z wysokości niewielkiego wzgórza na otaczający krajobraz. Piaszczyste grunta Lotaryngii nie łatwe są do uprawy; o 30 metrów przed nami pięć sztuk bydła, para wołów, krowa i dwa konie, zaprzężone do jednego marnego pługa, ciągnęły go z mozolem. Ta robocza gromadka przedstawiała jedyny punkt żyjący na tych smutnych obszarach. Ziemia mozolnego wysiłku, na którą spoglądałem, była w harmonii z mym nastrojeniem i z niepokojem, który nurtował mię wewnętrznie i pomagała mi do zrozumienia tego niepokoju. Nie wątpiłem, patrząc na nią, że nawet w duszy Le Sourd'a obudzi szlachetne uczucie poszanowania dla syna zwyciężonej Alzacyi.

W ostatniej chwili, gdy przygotowywano szpady, wziąłem go na stronę i rzekłem tonem dość ostrym.

— Uprzedzam pana, że nie zobaczę cię więcej w życiu, jeśli tego chłopca spotka nieszczęście.

— Zbyt dobrym jestem bratem—odrzekł—bym załadniał upiorami park mej siostry.

Czy mówiła przezeń ludzkość, czy też raczej próżność pewnego siebie sportsmana? Przeświadczony był z góry, że jakiś kiepski prowincjał nie może mu dorównać w sztuce władania szpadą.

I otóż... stało się wręcz przeciwnie. Zaledwie wymówił sakramentalne „Zaczynajcie panowie”, gdy już ku wielkiemu memu zadowoleniu mogłem przerwać pojedynek: Le Sourd otrzymał cięcie szpada w ramię.

Czuł się tem tak dotknięty, że sami jego świadkowie nie mogli powstrzymać się od uśmiechu. Zachował się jednak przyzwoicie, oświadczając, że będąc poniekąd u siebie, czuje się w obowiązku wyciągnąć pierwszy rękę do p. Ehrmanna, który ze swej strony uściśnął ją bez wahania.

Pośpieszyłem uprzedzić panią d'Aoury o przebiegu zajścia. Przyszła wraz ze mną do kiosku, w którym opatrywano ranę Le Sourd'a.

— Brat mój—rzekła do młodego Alzatzczyka— znalazł się jak roztrzepaniec. Ukazemy go za to, posyłając go do łóżka, panowie zaś nie odmówicie mi, jak ufam, zostania z nami na śniadaniu.

Wdzięk siostry większe daleko wywarł wrażenie na młodym Alzatzczyku, niż poprzednio grubiańskie zachowanie jej brata. Był to stanowczo nadzwyczaj sympatyczny człowiek.

Postanowiliśmy nie wspominać ani słowa o całym zajściu wobec gości zamkowych. Opowiedzieliśmy więc, że Le Sourd zwichnął sobie ramię i tem wytłómaczyliśmy jego nieobecność. Rozprawiano o tym wypadku za stołem, co pozwoliło wtajemniczonym robić zabawne dość uwagi. To zdarzenie, tak przykre w gruncie, dostarczało teraz powodu do mistyfikacji. Alzatzczyk stał się rzeczywiście bohaterem dnia i zasługiwał na to, gdyż podniósł poziom rozmowy.

Pani d'Aoury wprawiła mię w podziw, pokazując kryjacy się zwykle za zalotnemi minkami i omdlewającym wdziękiem, niezwykle zmysł życiowy. Zobaczyłem, że piękne oczy, które zdają się być stworzone jedynie dla miłości, umieją widzieć daleko i patrzeć przenikliwie, jak źrenice drapieżnego zwierzątka. Dotąd widywałem był młodą ko-

biętę jedynie w Paryżu, gdzie zbyt wiele rzeczy rozprasza naszą uwagę, nie pozwalając oceniać ludzi należycie. Sami ci ludzie wydają się w atmosferze miasta mniejszymi moralnie i duchowo. Ale w tem starém domostwie, którego całą ozdobę stanowiły kiejskie portrety wojowników, przywołujące na myśl czyny bardzo proste, pani d'Aoury nabierała szczególnego wyrazu i wydzielala się uderzająco na tle otoczenia. W szeregu posiadaczy Lindre-Basse przedstawiała epizod piękna. Podczas tego śniadania jej takt niezwykły, giętkość i subtelność jej umysłu, cała jej wysoka umiejętność obejścia, na której nie poznaliby się Niemcy i którą ogłosiliby za lekkomyślność, uwydatniała się jeszcze więcej w porównaniu z zachowaniem młodego Alzatzczyka, komentującego wszystko zbyt detalicznie i kładącego nacisk nawet na swe milczenie. W początku śniadania zaznaczał bowiem wyraźnie, że milczy rozmyślnie. Można było wziąć wówczas Ehrmanna i jego towarzysza za dwie karykatury, sympatyczne jednak i pełne inteligencji. Ehrmann umiał ocenić, i nie trudno było to zauważyć,—cudowny wytwór Francji, jakim była ta młoda kobieta. Mimo całą swą sztywność wyglądał wprost wzruszająco z wyrazem zachwyty na twarzy wobec tej królowej. Wkrótce zapomniał o wszystkim po za nią. I gdy pani d'Aoury mówiła rzeczy ładne i dziwne, przechylał się nieco w tył i śmiał przez chwilę zbyt głośno.

Nasza gospodyni przeskodziła kolejno wprowadzeniu rozmowy na Francję i Niemcy, na germanizację i na partye polityczne alzacko-lotaryńskie. Podziwiałem u Ehrmanna, który musiał być z natury popędliwy, a może nawet brutalny, niezwykłą zdolność panowania nad sobą. Wyrabiać ją musi od lat 30-tu w ludziach atmosfera krajów zabranych.

Hrabina d'Aoury postanowiła jednak w końcu wszcząć z młodym Alzatzczykiem pogawędkę o jego ojczyźnie. Jak wszyscy jej synowie, lubił namięt-

nie długie przechadzki. Z wyrazem szczerego przekonania zachwalał je jako higienista, patriota i poeta, i opowiadał o rozkoszy, jakiej doznaje krocząc w cieniu drzew po przez lasy i gaje, po przecinanane siecią długich i wązkich ścieżyn. Na gałęziach iskrzy się rosa; podróżnik dobrze zabezpieczony od chłodu, idzie, nie czując zmęczenia. Pani d'Aoury, która nigdy prawie nie wychodziła po za granice parku i zrzadka jedynie odbywała przejażdżki w powozie zapewniła go, że takie wy-cieczki byłyby dla niej wprost marzeniem.

Gdy wstaliśmy od stołu, zrobił nam prawdziwy wykład o zamkach w Wogezach. Próbowałem wtrącić, że jakkolwiek nie mały w Lotaryngii feodalnych burgów, nie brak nam jednak ładnych posiadłości, które powinnyby podobać się pani d'Aoury więcej, niż ruiny z 12-go wieku. Lecz ona nie chciała słuchać mię nawet, odrzucając wszystko, co nie było panem Ehrmannem i Alzacją.

Czyż to ta sama kobieta mówiła mi na parę dni przedtem:—Ah, panie, jak ja się nudzę na tym waszym „Wschodzie”.—Czyż tak bardzo pani?—Bezgranicznie, panie, bezgranicznie!” Siedziała wówczas na tym samym szeszlunku i udawała, że ziewa szeroko, pokazując aż do samej głębi różowego pyszczka swoich 32 białych ząbków. Używam rozmyślnie określenia „pyszczek”, które najlepiej pokazuje, jak wiele miała w sobie ta kobieta z młodego, ślicznego zwierzątka.

Teraz czyniła nam wymówki za to, że nie powieźliśmy jej do Hochkoenigsburgu i S-tej Odylii. Jak ona chętnie pięłaby się po górach, nocowała w zajazdach! Zbyt szczerze zachwyciałem się nią, by protestować przeciw tej hypokryzji, która wpływała zresztą głównie z nadzwyczajnej ruchliwości jej umysłu.

Goście Lindre-Basse powrócili już byli oddawna do swych pokojów, oddawna już świadkowie pojedynku, i ja z nimi, siedzieliśmy w milczeniu, roz-

mvslając o własnych sprawach, a pani d'Aoury i Ehrmann wciąż z jednakim zapalem i energią wysławiali piękno, zdrowie i wielkość Alzacyi. Dwaj Paryżanie byli tem nieco dotknięci, tak mi się przynajmniej wydało. Od czasu do czasu tylko młoda kobieta zwracała się do któregoś z nas, prosząc o szklanke wody, o spuszczenie rolety, gdy raziło ją zbyt żywe światło, o podniesienie pledu, który, spadając jej z kolan, pokazywał mały trzewiczek w ciągłym ruchu i cienką w kostce nóżkę. Przedmiotem i powodem całej tej nerwowości był młody przybysz. Nie ulega wątpliwości, że nie uznawała wogóle, by ktokolwiek mógł oprzeć się jej czarowi, lecz wobec Ehrmanna posunęła swe zapaly zdobywcze do najdalszych granic, a stała się już wprost szczytną, gdy zaczęła mówić o medycynie.

Wobec młodych ludzi, którym uśmiecha się życie, nie umiałem nigdy oprzeć się uczuciu wielkiej sympatyj, z którą kojarzy się smutne wspomnienie minionych dni własnego istnienia. Życzę wszelkich powodzeń tym wybrańcom losu, którzy nie dobiegli jeszcze lat trzydziestu. Chciałbym uchronić od wszelkich przeciwności tych młodych bogów, którzy posiadli sławę i miłość. Myślę o nich z przyjemnością, jak o jakimś pięknem i kruchem dziele sztuki i mówię sobie: „Istnieje na świecie czlow ek, jakim ja być pragnąłem. Oby tylko nie zlamalo go życie!” Z takim to uczuciem głębokiej życzliwości i pełnej melancholii patrzyłem obecnie na młodego Alzaczycyka. Doznawał on radości, jaką odczuwa każdy mężczyzna po pierwszej sprawie honorowej i silnego wstrząśnienia nerwowego, które krzepi ducha i ciało i wprawia w stan szczególnego podniecenia. Przyczyniała się do tego nastroju i romantyczna strona sytuacji: przyjmowano go, goszczono, pochlebiano mu w domu jego przeciwnika. Oryginalna piękność pani d'Aoury nie odczuła go odrazu; z początku myślał przedewszystkiem o zachowaniu się zgodnie z wymaganiami

grzeczności francuskiej. Lecz zapomniał o tem wkrótce; wówczas tak mówny przed chwilą, stał się naiwnie milczącym, a gdy pani d'Aoury zaczęła opowiadać mu w końcu o ciężkiej chorobie, podczas której podległa operacyi, na twarzy jego odmalowało się najszczerze, najszlachetniejsze męskie współczucie.

— Cierpiałam okropnie przez 15 dni i nocy. Leżąc w łóżku, poruszałam wciąż zlekka nogą i śpiewałam zeicha jakąś melodyę w dwóch tonach. Działo to na całe me otoczenie w sposób tak przynębiający, że doprowadzało mych blizkich wprost do obłędu. Ale ponieważ skazana byłam na ból i cierpienie, chciałam przeto ból ten uspić. I tak go do snu kołysałam.

I nagle złożyła ręce na kolanach, jakgdyby tuląc do snu dziecko, a jednocześnie poruszała lekko nogą, przyspiewując półgłosem. Wyglądała jak obraz bezsilności, a jednak młody medyk wyraził myśl ogólną, mówiąc po chwili:

— Jest pani kobietą wielkiej odwagi.

— W każdym razie — rzekła — powstając, uwielbiam męstwo. Nie uważam, by życie było czemś arcywinnem i wołałabym widzieć brata mego umarłym, niż mieć mu do zarzucenia brak odwagi. Rada jestem jednakże, iż to całe zajście, którego wina na nim leży wyłącznie, pozwoliło nam zyskać w panu przyjaciela, dla którego wszyscy tu żywimy uczucie szczerego szacunku.

Podala mu rękę, sądząc oczywiście, że ją pocałuje. Ale Ehrmann ujął ją w obie dłonie i rzekł z głębokim przejęciem, które zmieszało nieco młodą Paryżankę, lękającą się niezmiernie śmieszności:

— Tylko kobiety francuskie zdolne są do takiej dobroci i delikatności.

Pani d'Aoury wybiegła z salonu, płacząc się w tren swej sukni, potykając się, wykrzykując, przytrzymując się mebli. Ten sposób opuszczania pokoju był jej dość zwykłym.

Odprowadziłem na kolej naszych Alzateczków, którzy mieli ochotę użyć nieco przechadzki. Szliśmy przez park; obydwa byli rozpromienieni, a w każdym ich ruchu widać było nadmiar sił młodych i niezwytych.

Ehrmann zachwycał się wspinałym krajobrazem, pełnym słodyczy i spokoju w blaskach zachodzącego słońca.

— Czy w takim parku — zawołał nagle — można sobie wyobrazić zamiast pani d'Aoury jakąś grubą Prusaczkę. Gdyby nawet pod tem bładem niebem stały też same budowle, słały się też same łąki, rosły też same lasy, choć sądzę, że i to wszystko byłoby wówczas odmienne, gdzie podziałyby się szlachetność i wytworność atmosfery, która przenika tu wszystko obecnie.

Słowa te odkrywały przedemną wreszcie jego duszę, pokazywały mi w nim towarzysza mej myśli, wierzącego niezłomnie w wyższość rasy francuskiej.

— Wszak prawda, doktorze — dodał — zwracając się do Wenera, że pani d'Aoury jest prawdziwą Francuzką, Paryżanką, najczystsze wcielenie typu.

Doktor Werner nie wypowiedział chyba trzech zdań w ciągu dnia całego; należał widocznie do odmiany milczących Alzateczków, niemniej sympatycznych i równie licznych jak ci, którzy posiadają swadę prawdziwych południowców.

— Byłem małym chłopczyną — odpowiedział — gdy zrobiono z nas Niemców; ty jesteś zbyt młodym, Ehrmanie, by te czasy pamiętać. Ja przypominam sobie doskonale mundury francuskie na ulicach Strasburga. Były w harmonii z otoczeniem, tak jak głos i ruchy pani d'Aoury są w harmonii z tą starą posiadłością lotaryńską.

Oslupienie moje wobec tych słów nie miało wprost granic. Owładnęła mną chęć poproszenia obu młodzieńców, wielomównego i milczącego o czynną pomoc w ankiecie o przetwarzaniu się obyca-

jów w krajach zabranych. Ale w pięć minut później unosiła ich już lokomotywa.

Wracając do zamku najdłuższą drogą, napawając się miłością mą Lotaryngią. Widziałem wyraźnie na każdym kroku, że Niemcy, którzy nie stworzyli piękna tego kraju, niweczą je, odkąd go przywłaszczyli. Jeśli welchowie opuszczą tę prowincję, która jest ich wytworem kulturalnym, pozostanie z niej cudne ciało bez duszy. Ci dwaj Alzateczycy rozumowali logicznie: cóż znaczy park francuski, jeśli córa Francji nie ozdobi go czarem swej postaci.

Powróciwszy do domu oświadczyłem pani d'Aourey, że pan Ehrmann rozkochał się w niej na dobre.

— Sądziś więc pan, że będzie milczał?— spytała. Pytanie to dotknęło mię nieco.

— Jak można podejrzewać o najmniejszą niedelikatność człowieka, który przejawia w swym sposobie myślenia i działania tyle szlachetności? To niegodne pani.

— Masz pan słuszość— odparła— lecz miałabym do p. Ehrmanna większe jeszcze zaufanie, gdyby był milczący, jak jego towarzysz. Ten pan wołałby z pewnością zginąć, niż otworzyć usta. Cóż to za ludzie z tych pańskich Niemców! Wyczerpana jestem nimi do ostatka.

IV.

Wojna francusko-niemiecka toczy się w dalszym ciągu w Alzacji i Lotaryngii.

Powróciłem na zimę do Paryża, gdzie wspomnienia jesieni, spędzonej w Lotaryngii, poczęły zacierać się powoli w mej pamięci. Epizod pojedynkowy mógłby być dostarczyć mi materiału do ciekawych gawęd, choćby ze względu na swą ładną malowniczość, ale przekonałem się wprędce, że ludzie, którym go opowiadałem, wyciągali zeń wniosek o zniesieniu Alzacji, co sprowadzało drażniącą mię dyskusję. Ja sam zresztą, jakkolwiek powstawałem w dalszym ciągu przeciw obeldze wyrządzonej skrzywdzonym, których Francja oddała Niemcom jako wykup wojenny, myślałem z przykrością, że Ehrmann nosi obecnie hełm pruski. Żywiłem żal do Le Sour'da, lecz straciłem pierwotną gorącą sympatyę dla jego przeciwnika.

Pisałem dalej mą książkę. Dane, których mi dostarczyli notaryusze lotaryńscy, odnosiły się głównie do życia wiejskiego i świadczyły o arystokratycznych i zachowawczych kadencjach rządu, dążącego do umocnienia podstaw społecznych przez wprowa-

dzenie np. do prawa spadkowego licznych ułatwień i pragnącego jednocześnie pobudzić do więcej aktywnego życia prowincję (udzielając pewnych przywilejów syndykatom i kasom pożyczkowym ziemskim). Z drugiej jednak strony widziałem, że despotyzm pruski stawia w Alzacyi zapory swobodnemu rozwojowi instytucji, które w innych prowincjach cesarstwa są czynnikami dobrobytu i pomyślności. Należało mi uzupełnić jeszcze ankietę w tym kierunku; chciałem też zobaczyć zblizka jak ciężą zwyciężonym ich łańcuchy, dlatego też 1903 roku udałem się do Strasburga.

Przybyłem tam pod wieczór w dzień piękny i pogodny i natychmiast złożyłem u kilku miejscowych przemysłowców i turystów polecające listy, w które mię zaopatrzone. Dało mi to sposobność przejścia kilka razy przez słynny „trotuar”, prowadzący do placu Gutenberga, wzdłuż którego mieszczą się najbogatsze sklepy. W tej części Strasburga, gdzie między 5-ą i 8-ą przesuwają się gęste tłumy, złożony z najwięcej eleganckiej publiczności, uderza przedewszystkiem obcego przybysza niesłychana arogancja niezliczonych oficerów pruskich. Idą sztywni, wyprostowani, nie usuwając się na krok, nawet przed kobietami. Są w swych mundurach wspaniali, lecz przesadni, pełni pychy i pozbawieni wszelkiej uprzejmości. Są to członkowie pewnej kasty, a jednocześnie zwycięscy na arenie swych tryumfów. Stwierdzenie tego faktu nie przygnębia Francuza, ale raczej dodaje mu otuchy, widzi bowiem z wewnętrznym zadowoleniem, że po 33 latach panowania pozostali ci wspaniali żołnierze na zabranej przez nich ziemi obcymi władcami.

W pośrodku miasta, górując nad znikomością rzeczy doczesnych, stara katedra stoi na posterunku i czuwa. Jej trwanie po przez czasy jest rękoiemną przyszłości, protestem przeciw temu, co mija. Jest ona wznoszącą się nad czasową potęgę germańską

świadectwem koncepcji harmonii i piękna, zrodzonej pierwotnie w basenie Sekwany.

Z katedry udałem się do uniwersytetu. Obszerne jego zabudowania wywarły na mnie wrażenie więcej niepokojące, niż koszary. Niemcy nie ustają ani na chwilę w swych planach zdobywczych. Nie udało im się może zwalczyć ostatecznie tego, co pozostało francuskiem w zabranych prowincjach i liczą zapewne, że profesorowie będą umieli wciągnąć w karby moralnej dyscypliny dusze, na które arogancja oficerowie nie zdolni byli wyrzucić żadnego wpływu. Studya, które przeprowadziłem nad nowym kodeksem, pozwoliły mi poznać trafność ich rozumowania na niektórych punktach. To też, jak się to zdarza w chwilach, gdy jakieś silne wzruszenie wstrząsa naszą istotą, odczuwałem głęboko podczas tej samotnej przechadzki po ulicach Strasburga rozkład wewnętrzny ludu alzackiego, któremu każą wybierać między dwoma ideałami. I nagle przyszedł mi na myśl Ehrman i porównałem go w duchu do marynarza, zgubionego na szerokim morzu. I znowu wydał mi się postacią zagadkową. W jakim stopniu był Francuzem, a w jakim Niemcem? I jak kojarzyły się pierwiastki francuski i niemiecki u ogółu młodych Alzatezyków, przyszyłych kierowników tego społeczeństwa? Te dumania nasunęły mi chęć poznania i zobaczenia zblizka uczącej się młodzieży.

Dowiedziałem się w hotelu, że spędzali najczęściej wieczór sobotni w towarzystwie swych przyjaciółek w *café chantant*, zwanym „Variétés”. Udałem się tam więc około godziny 9-ej.

Gdy przechodziłem przez korytarz, prowadzący do sali, jakiś wysoki młodzieniec ze szramą na twarzy i w tradycyjnej czapeczce zbliżył się do stojącego tam policyanta.

— W jednej z łóż — rzekł — widzę kogoś, palącego pokryjomy. Jestem asesorem (tak tytułują się studenci 4-go roku prawa). Żądam, aby prawo zostało uszanowane.

Podobne postąpienie da się usprawiedliwić rozumowo i jest słusznem z punktu widzenia społecznego. Paskal, oskarżając i prześladowając brata Saint-Ange, nie wiele różnił się w zachowaniu od tego młodego bursza. Tem niemniej słowa jego obudziły we mnie wstręt najwyższy, wstręt tak niezmierny, że graniczący wprost z rozradowaniem.

Wszedłem do sali. Jakaś szansonistka francuska śpiewała „*Les petits cochons*.” Parter oklaskiwał ją frenetycznie, z pięter rozlegały się wycia. Gdy po Francuzce ukazała się Niemka, dół począł krzyżeć, a góra dawać brawo. Wywnioskowałem ztąd, że widzowie ugrupowali się podług narodowości i że ja sam znajdowałem się pomiędzy francuską częścią publiczności. Za najbliższego sąsiada miałem pięknego, barczystego mężczyznę, blondyna o białej cerze i niebieskich oczach. Ze sposobu, w jaki zajmował się swą przyjaciółką, wywarł na mnie dodatnie wrażenie. Powiedział mi z dumą, że pochodzi z Górno-Reńskich prowincyi, gdzie piją wino. Następnie zaczął zwracać mą uwagę na ordynarne zachowanie się Niemców.

Ci ostatni zaopatrzeni byli rzeczywiście w długie wędki, u których końca wisiały wędzone śledzie i któremi poruszali nad głowami widzów, siedzących na parterze; od czasu do czasu rzucali na salę garścią miedziaki. Jeden z nich siedział na krawędzi łoża z nogami, zawisłemi w próżni; na kolanach trzymał talerz i jadł żarłocznie kotlet, z którego sos ściekał na głowy publiczności. Czasem jakiś bursz na pół-pijany zrywał się z miejsca i wyciągając przed siebie kufel piwa, huczał potężnym głosem „*Prosit*,” wołając na kolegę, do którego przepijał nie z imienia a z przezwiska. Towarzysz, ukoronowany w taki sposób, odpowiadał najczęściej grubo nieprzyzwoitym żartem.

Ci młodzi Niemcy pojmowali zabawę w sposób, dowodzący absolutnego braku smaku; grzeszył nim również młody prawnik w swem pojmowaniu

obowiązku. Wyglądali na puszczone na swobodę rozbrykane zwierzęta. Ale młodość, jej zapał i jej ogień nadają wszystkiemu jakiś koloryt wszystko uszlachetniają, to też panująca tu atmosfera raziła mnie mniej przykro, gdy spoglądałem na twarze tych młodzieńców, dumnych z głupstw popełnianych. Mój sąsiad i jego towarzysza protestowali przeciw ordynarnym figlom Niemców, lecz bawili się swoją drogą znakomicie i, gdy zwierzyłem się im z chęcią odejścia, odpowiedzieli mi tonem szczerego przekonania:

— Ależ teraz dopiero zobaczy pan coś ciekawego.

Przypomniało mi to słowa pieśni Berlioza.

— A teraz patrz. Brutalność instynktów wypowie się za chwilę w całej swej naiwności.

I rzeczywiście doszło do przejawów rozbestwienia, o których dziś jeszcze nie mogę pomyśleć bez pewnego szczególnego zadowolenia.

Zaledwie bowiem mój uprzejmy sąsiad z nad Renu zwrócił się do mnie z swem iście proroczym przemówieniem, (ten zbieg okoliczności musiał go zresztą wyprowadzić ostatecznie z równowagi), gdy z pierwszego piętra cisnął ktoś spory bochenek chleba, który trafił w jego towarzyszkę i zrzucił jej z głowy kapelusz. Całe „Niemcy” poczęły śmiać się hałaśliwie. Szybciej niż atleta zrzuca z siebie ubranie, pozbył się mój Alzatczyk dotychczasowej pogody oblicza i skoczył z miejsca. Upłynęła krótka chwila i oto z łoża nad naszymi głowami, odezwał się głosem nabrzmiałym wściekłością:

— Kto z was rzucił chleb?

W sali poczęto wstawać z miejsc. W łoży rozległ się koncert szydzących śmiechów. Alzatczyk mówił dalej:

— Chleb wypadł ztąd. Żądam po raz ostatni, by ten kto go rzucił, przyznał się do swego postętku.

I znowu śmiechy szydercze. Potem nagle krzyk przerażenia. Z amfiteatru, z wysokości 3-ch do czterech metrów, potoczył się w próżnię człowiek. To mój Alzatzczyk wyrzucił któregoś z Niemców.

W sali zakotłowało się wnet jak w garnku; powstał zgiełk niesłychany; Niemcy biegli za zuchwalcem, chcąc go skarcić należycie, Alzatzycy wystąpili w jego obronie. Mobilizacja dwóch narodów, stojących do walki, skutecznie się w krótką chwilę.

Dwóm policyantom, którzy próbowali przeszkodzić potyczce, dostało się od obydwóch stron wojujących. Za łóżami i na schodach, bitwa przybrała wspaniałe rozmiary. Rezultaty jej okazały się niepomysłnemi dla Niemców, którzy cofnęli się powoli ku wyjściu. W przystępie bohaterskiego zapalu młodzi potomkowie Gallo-Romanów zgnetli horde germańską.

Zadziwiającym jest wszakże, jak mało dotkliwemi są w skutkach te wielkie zapasy ludzi nieuzbrojonych. Wypływa to prawdopodobnie ztąd, że cioty, zadawane w zwartym tłumie, tracą na sile.

Wyrzuceni na ulicę Niemcy próbowali dostać się ponownie do sali, bezskutecznie jednak, gdyż widowisko zostało przerwane. Wszyscy tedy podążyli tłumnie ku wyjściu. Ja sam byłem już bliżki drzwi, gdy nagle, roztrzaskując wszystkich na prawo i lewo, wtargnął z zewnątrz jakiś olbrzymi Pomorzanin. Chwyciwszy czerwony aksamitny fotel kasyerki, która uciekła z przeraźliwym wrzaskiem, wznosił go w górę, tłukąc wiszący u sufitu żyrandol, który rozprysnął się w drobne szczątki, a następnie rzucił z całym rozpędem w kierunku trzech zuchów alzackich, którzy zagrządzali mu drogę. Jeden z nich padł na ziemię. Wówczas furyatów zamierzył się na jego towarzysza. Ale nagle poskoczył ku niemu z boku jakiś młody człowiek, który, wpiwszy mu ręce w szyję, potoczył się z nim na

ziemię i, obojętny na sypiące się nań razy, dusił zawzięcie przeciwnika.

Z ust wyrwał mi się okrzyk tryumfalny. W młodym obrońcy poznałem Ehrmanna, mego znajomego z Lindre-Basse. Z uczuciem wielkiej radości stwierdziłem, że, pełniąc oficjalnie służbę w wojsku niemieckim, występował w życiu prywatnym jako wolontaryusz francuski, że należąc z pozoru do przedniej straży niemieckiej, walczył w tylnych szeregach armii francuskiej. Wraz z innymi przedstawicielami mego narodu rzuciłem mu się na pomoc. Ale z głębi sali, dokąd dostali się prawdopodobnie przez scenę, wyłonili się w owej chwili gromadnie policyanci i w dość prędkim czasie wyrzucili nas wszystkich za drzwi. Jeden z nich uprowadził Ehrmanna. W tem jakiś student chwycił policyanta za ramię, wykręcił mu je i zaczął wołać:

— Uciekaj, uciekaj! Nie dawaj się im!

Zrozumiałem, co miały znaczyć te słowa. Wolontaryusz, schwytyany w podobnych okolicznościach, mógł ponieść bardzo ciężką odpowiedzialność. Ehrmann zawahał się nieco, lecz znikł wreszcie.

Jego wybawiciel, mniej odeń szczęśliwy, pozostał w ręku policyantów.

— Przystaniesz ty się rzucać, łobuzie jakiś, — warknął jeden z nich.

— Wara od traktowania mię od łobuzów, — odparł młodzieniec. — Jestem synem mera miasta T i nie pozwalam przemawiać do siebie w podobny sposób.

Pociągnięto go swoją drogą na policyę wraz z kilkunastu innymi. Ostygłem nieco w mym nadmiernym zapale, widząc jaką wagę przywiązywał ów kamrat Ehrmanna do swego stanowiska społecznego i bawilem się szczerze w duszy, myśląc o nim.

— Nie ulega wątpliwości, — rozważałem wewnętrznie, — że szanownemu synowi mera dostaną się od stróżów porządku publicznego dobre cięgi. Ale

zachowanie się kilku z pomiędzy obecnych osób, zdziwionych i zgorzonych jego zaarrestowaniem, dowiodło mi, że student ów powołał się nadaremnie na godność ojcowską. Zapewniono mi zresztą, że wszyscy ci młodzi ludzie zostaną wypuszczeni po sprawdzeniu ich tożsamości i że policja nie będzie mogła oddać im żadnego z razów, które od nich otrzymała.

Dzienniki opowiedziały nazajutrz bardzo pobieżnie o bójce między studentami. Rząd niemiecki wystrzega się bliższego rozpatrywania spraw, które mogłyby obudzić wątpliwości co do skutecznego zgermanizowania Alzacji. W sferach „Najwyższych“, nie chcą, ażeby istniała wogóle kwestya alzacko-lotaryńska.

Wypadek ten poruszył mnie więcej, niżby to można było przypuszczać, biorąc rzeczy ze stanowiska czysto rozumowego. Ale rozum nie odegrywał w mych wywodach wielkiej roli. Bezrozum, brak zastanowienia u młodych bojowników idei narodowej, budził we mnie właśnie bratnie sympatyje. Zasięgnąłem bliższej informacji co do zajścia, w którym odegrali czynną rolę i dowiedziałem się, że władze sądowe nie rozpoczną przeciw nim żadnej akcji, nie uprzedziwszy o tem rektora i że młodzi oskarżeni staną najpierw przed senatem akademickim, czyli przed radą uniwersytecką.

Strasburg jest małym miastem, w którym łatwo przewidzieć się o wszystkim. Uzyskałem więc bez wielkich zachodów dokładne sprawozdanie z tego posiedzenia. Odbyło się, jak mi opowiedziano, w obszernej auli uniwersyteckiej, gdzie wezwano studentów pociągniętych do odpowiedzialności przez policję. Towarzyszyło im wielu z ich kolegów, którzy będąc obecnymi przy utarczce, występowali w charakterze świadków. Za stołem, pokrytym zielonym sukniem, siedział rektor w otoczeniu profesorów. Rektor miał długie, prawie już białe włosy, dość okazałą brodę i złote okulary. Założywszy

rękę za klapę od tużurka, komentował oskarżenia policji z miną bardzo godną i twarzą bardzo bladą.

— Zachowaliście się jak gmin pospolity w sposób niegodny wychowawców *Alma mater*. Lecz najsmutniejszym w całej tej sprawie jest wasze zajście z policją i stawianie jej oporu.

Gdy skończył, jeden z młodych ludzi zbliżył się do stołu i oświadczył:

— Zwrócę uwagę pana rektora, że agenci pierwsi lżyć nas poczeli. Ten, który mię zaarrestował, nazwał mię np. łobuzem.

Rektor wstał, opierając się o stół rękoma.

— Czy możesz pan przedstawić mi dowody wiarygodności słów twoich?

Kilku Alzatzyków wysunęło się wnet naprzód:

— Słyszeliśmy odezwanie się agenta, możemy zaświadczyć, że nasz towarzysz mówi prawdę.

Szanowny rektor odrzucił w tył głowę i założył znów rękę za klapę tużurka. W chwili pełnienia wysokich czynności urzędowych, Niemcy przybierają szczególnie solenne miny. Rektor zwrócił się do swych kolegów:

— Panowie,—rzekł—dowiadujemy się w tej chwili rzeczy bardzo poważnej. Pierwszym obowiązkiem, jaki nakłada na nas nasze stanowisko, jest wymaganie poszanowania dla naszej świętej i ukochanej wszechnicy i jej wychowawców. Nie możemy pozwolić, by wolno było policji lżyć ich bezkarnie. Panowie, proponuję, by ci młodzi ludzie oddalili się obecnie, rozpoczniemy wówczas obrady.

Wszystkie poważne i godne oblicza senatorów, wszystkie głowy, wsparte na rękę, pochyliły się na znak zgody.

A rektor, przybierając postać jeszcze więcej uroczytą, zwrócił się znów do młodych ludzi i rzekł, bez życzliwości wprawdzie, lecz już tonem o wiele łagodniejszym:

— Panowie, możecie odejść. Zawiadomimy was o skutkach, jakie pociągnie dla was ta sprawa.

Jedynym skutkiem sprawy było surowe ukaranie agenta policyi.

To wydarzenie stanowiło wymowniejszą nad wszystkie artykuły nowego kodeksu ilustrację arystokratycznych, a właściwie klasowych tendencji niemieckiego społeczeństwa. Gruntuja się one raczej na obyczajach i sposobie myślenia, niż na literze prawa. Wiele z przywilejów i prerogatyw uniwersytetu opiera się tylko na tradycji; są to prawa niezupełne i dowolne, zagrożone zresztą obecnie w swem istnieniu przez wzrastającą potęgę cesarską. Nie ma w kodeksie przepisu, na zasadzie którego studenci mogliby podlegać specjalnej jurysdykcji. A jednak wszystkie przekroczenia mniejszej wagi są przez senat akademicki, który udziela z góry rozgrzeszenia za wszystko, co może być podciągnięte pod rubrykę pijatyk i hałasów nocnych, a na innego rodzaju przewinienia znajduje zawsze usprawiedliwienie.

Alzacczycy, urobieni przez geniusz francuski, przeniknięty duchem równościowym i dążący do rozwiązań najprostszych, skarżą się, że w prawie niemieckiem jest zawsze miejsce na arbitralność.

To samo już wystarczy, by wpłynąć na nich ujemnie. Lecz więcej jeszcze obawiam się dla nich skutków hypokryzji, wyrabiającej się z konieczności w takich wypadkach. Nie ganię np. tych młodych ludzi za użycie fortelu dla uniknięcia następstw potyczki w Variétés, wolałbym jednakże, by ich piękny instynkt bojowy nie potrzebował uciekać się do wybiegów.

Nie wolno ich czynić odpowiedzialnymi za to obniżenie ich poziomu moralnego; wynika ono wyłącznie z warunków ich istnienia od lat 33-ich. Walka dwóch ras trwa nadal w Alzacji i Lotaryngii. Rylec naszego Callot'a nie odtworzył wszystkich klęsk wojny. Są jeszcze inne, które dojrzeć można jedynie oczyma duszy.

Pewnego wieczoru, gdy po raz setny może starałem się na zasadzie zebranych spostrzeżeń sformułować sąd ostateczny o stanie rzeczy w zabranych prowincjach, spotkałem nagle Ehrmanna. Ta wizyta przelotna utrwaliła jeszcze mój niepokój wewnętrzny.

Młody wojak, przybrany w hełm pruski, wychodził wraz z kilku innymi żołnierzami z koszar artylerji, na placu Austerlitz. Nasze wejrzenia spotkały się przez chwilę. On nie okazał, że mnie poznaje, jakkolwiek widział, że postąpiłem ku niemu; zauważyłem tylko, że przyspieszył kroku. Nie ukloniłem mu się, nie zaczępiłem go również. Dlaczego? Bo straciłem nieco z wysokiego szacunku, jaki miałem dlań początkowo i w jakim umocniłem się jeszcze, widząc go występującym przeciw wrogowi, wobec jego wyraźnego bardzo zakłopotania, jego pośpiechu i pikielhauby pruskiej na głowie. Przyznaję się do tego szczerze.

Nazajutrz opuściłem Strasburg, dość przygnębiony ogółem mych spostrzeżeń. Uzupełniały one dokumenta, zebrane jesienią, lecz przeczyły powieką pierwotnym mym wrażeniom. Przekonałem się teraz, że niektóre postanowienia prawa niemieckiego, które przyczyniają się zasadniczo do umocnienia podstaw społecznych, nie odpowiadają jednak duchowi kultury Alzacji i Lotaryngii.

V.

Zawsze jednaka i zawsze różnorodna Alzacya.

Podróżnik, który zwiedza równinę alzacką pomiędzy Sawerną i Mülhuza, biegnie instyktownie wzrokiem ku niezliczonym zamkom średniowiecznym, które pną się po szczytach Wogezów nad niskim wałem winnic. Dla miejscowego mieszkańca przedstawiają te zabytki coś więcej, niż malowniczą ruinę; przemawiają one do jego uczucia. Nie zdając sobie nawet dokładnie sprawy z roli, jaką odegrały w życiu społecznym kraju, szanuje w nich może tę przeszłość. Pamięta również, że prowadzono go tam w dzieciennych latach, że znali te miejsca jego rodzice i dziadowie; w każdej rodzinie wiąza się z jednym z tych pomników minionych czasów wspomnienia dni złych czy dobrych, małżeństw, narzeczeństw, narodzin, śmierci. Najbogatszy zasób pamiątek posiada góra Ś-tej Odylii, na której, wraz z licznymi zamkami i słynnym klasztorem, przechowały się zabytki z epoki rzymskiej i druidycznej.

Klasztor Ś-tej Odylii, gdy spoglądamy nań z równiny, wygląda jak wianek starych kamieni, wyrosły nad wierzchołkami lasów. Wznosi się u szczy-

tu góry na olbrzymiej skale, ściętej stromo ku wschodowi i dostępnej z jednej tylko strony; u stóp jej ścięła się z trzech innych stron ciemne otchłanie lasów. Są bezwątpienia w Wogezach krajobrazy równie malownicze, lecz ten budzi pobożne uwielbienie. Ś-ta Odylia jest od 12-tu wieków patronką Alzacyi: góra, nosząca jej imię, stanowi wraz z katedrą strasburską skarbnicę najcenniejszych zabytków przeszłości. Gdy przypomnimy jeszcze, że wznoszący się na niej tajemniczy „mur pogański” jest dziełem rąk tychże przybylców, którzy zbudowali miasto Metę, nie zdziwi już nikogo, że króluje ona nad utraconymi przez nas prowincjami. To też, gdy w jesieni tego 1903 roku wróciłem do Alzacyi z zamiarem prowadzenia dalej rozpoczętej pracy, zdawało mi się, że nie uskutecznię jej nigdzie równie dobrze jak na górze Ś-tej Odylii, tam się więc udałem, by uporządkować i skoordynować notatki z Lindre-Basse i Strasburga.

Zebrałem był dokumenta, świadczące, że genjusz germański wyrugowuje zewsząd genjusz francuski i łaciński, chodziło mi teraz o wykazanie następstw tego faktu dla Alzacyi i Lotaryngii. Niepodobna jednak wyciągać wniosków w kwestyi zmian, wprowadzanych w życie tych prowincji przez instytucye niemieckie, nie ustaliwszy poprzednio naszych przekonań co do roli historycznej, tych dwóch marchii wschodnich. Należy pokazać przedewszystkiem co w tej dolinie Nadreńskiej przechowało się niezmiennie i nadal przechowane być powinno. Spoglądając ze szczytu Ś-tej Odylii na te ziemie można dopiero odczuć i zrozumieć ciągłość dziejową ich rozwoju.

Nie umiem oddać słowami czaru samotności i cudnych melodyi jesieni, którymi napawa się dusza na Ś-tej Odylii. Z jednaką zawsze miłością i zaufaniem witam wspaniałą górę. Nigdzie nie doznaję podobnego uczucia. Podczas mych podróży, wystarcza mi wogóle usłyszeć zwyż świergot pta-

ka, głośniejsze brzęczenie owadów, wystarczy mi ujrzeć lśniące w słońcu igły sosen, by życie weszło we mnie gorętszą falą, bym doznawał cierpień wygnańca, tęskniącego za domem, za rodziną i blizkimi, za całą swą pracą. Nie mogłem nigdy osiągnąć samozapomnienia, dać się całkowicie osiąść otoczeniu na górze Montferrat, stokroć dziwniejszej jeśli nie piękniejszej od S-tej Odylii. „Cześć twe ukryte potęgi, mówiłem świętej górze Katalañczyków, lecz żaden z kamieni twych stoków, nie mógłby posłużyć na wzniesienie grobowca, który sobie buduję”. S-ta Odylia wydaje mi się przeciwnie, jednem z mych środowisk naturalnych. Krocząc po jej ścieżkach nie czuję zmęczenia, a dusza ma śpiewa psalm ekstazy: „Jestem jednym z tych milionów szybko więdnących liści, które zaścielają jesienią zbocza Wogezów, lecz przez krótką chwilę, podczas których drzewo życia broni mnie od wiatrów i nawałnic, mam świadomość, że jest wykwitem wszystkich minionych i przeżytych pór roku“.

Wnikam w ten krajobraz, chcę go pojmować i odczuwać, by lepiej poznać własną duszę. Czyniąc to, wypełniam obowiązek i upajam się zarazem rozkoszą. Jeden to z posterunków, na których nikt nie może mię zastąpić. Po przez wielki las ciemny płynie hymn Wogezów, w którym łączą się głosy Alzacyi i Lotaryngii. Ten hymn mówi Francyi, co z niej przetrwać tu może.

Wenecya i Sienna, Kordowa i Toledo, ruiny Sparty nawet pozwoliły mi zebrać obfite żniwo wrażeń. Nie chcę umrzeć, póki nie skłonię czoła przed królewskimi miastami Wschodu, nie przywiązuję jednak wielkiej wagi do świętych powoźdeń, jakie zawdzięczam i zawdzięczać może jeszcze będę tym pięknym, lecz obcym mi zakątkom. Dały mi chwile szczęścia przelotnego, powierchownego i drażniącego. Tylko na górze S-tej Odylii, na ziemi mych zmarłych zstępuję w głąb samego siebie, przestaję być obojętnym widzem. Tu umieściło mię

przeznaczenie i tu tylko mogę, skupiając się duchowo, mnożyć me wątle potęgi myślowe, przez zbiorowy dobytek pokoleń; tu staje się me serce czującą tętnicą całego narodu.

W dniu mego przybycia do klasztoru padał deszcz nieustanny. Niebaczając na szarugę, jakaś siostra zakonna szła przez podwórzec, w kierunku wielkich drzwi lukowych, prowadzących do lasu... Te kornety mnisze i ogólny brak komfortu nadaje monastyczną fizyonomię budowłom, rysującym się szlachetnie na tle szeregu ciemnych topoli. W rzeczywistości stanowią już one tylko rodzaj zajazdu, utrzymywanego przez siostry miłosierdzia. Klasztor S-tej Odylii przestał być samotnią, w której zachowywano ścisłą regułę zakonną, daje nam jednak wciąż i zawsze wielką naukę ciągłości rzeczy. W jedyną ze ścian gmachu wmurowaną jest stała z XII wieku; w kaplicy przechowane są relikwie S-tej Odylii, uważane za autentyczne przez najwięcej skrupulatnych badaczy; pod murami klasztoru ciągnie się wąski szmat cmentarza, gdzie spoczywają zwłoki mniszek. Lecz najwięcej pouczający widok czeka nas u końca całego szeregu korytarzów, prowadzących do niewielkiego ogródka warzywnego. Od przepaści dzieli tu patrzącego jedynie mur niski, okalający ten szmat ziemi. Te kilka zagónów, tworzących niby ostrogę na krańcu płaskiej skały, na której wybudowano przed XIV wiekami ten gmach potężny — góruje nad szczytami najwyższych sosen. Niezliczone pokolenia spoglądały ztąd na to, co nie umiera, na wspaniałą Alzacyę „zawsze jednakową i nową zawsze“ jak mówi Goethe, opowiadając w swych wspomnieniach o wycieczce na Ottilienberg.

Treścią tego krajobrazu, obfitującego w różnorodne motywy są zwarte legiony drzew, zarastających faliste podgórze Wogezów. Za niemi ciągną się obszary rolne, bogate w tony zieleni i złota, zrzadka usiane kępami drzew ciemnych. Tu i owdzie znaczą się czerwoną plamą wioski, wreszcie na da-

lekich krańcach horyzontu, sinieje toń wodna. Lecz większym jeszcze liryzmem, niż te lasy, pnące się po gór stokach i niż ten spokój pól bezbrzeżnych, napawa duszę królestwo powietrzne. Mgły unoszą się i opadają, niebo i ziemia zlewają się i łączą. Czasem po równinie mkną cienie chmur niebieskich. Chwilami, płyną te chmury pod nami, przesłaniając ziemię. Suną chyżo, jak korowód statków, okrążających jakiś przylądek.

Wrześniowe poranki są na górze Ś-tej Odylii godzinami szczęścia. Roztaczająca się na widnokręgu równina jest słodka i tak świeża w lekkich oparach mgły, unoszących się w powietrzu, jak młoda córka Alzacyi. Rozkosznie urozmaicona, choć mogłaby się wydać jednostajną roztargnionemu oku, ta dolina Renu świadczy o pięknie i wytworności linii falującej. Przerzynające ją drogi, nigdy nie są proste, a wiją się niedbale. „Młode równie alzackie i stara jej góra!” chciałoby się powiedzieć wobec tego widoku. Lecz niech tylko słońce zaleje światłem ciemną górę, a ona również staje się młodą. Równina Nadreńska i góra alzacka dają jednakie proste szczęście, są w równej mierze dobrotną nam ojczyzną. Skrzętny lud tutejszy umie korzystać z tego, co daje mu życie. Jakie rozradowane twarze mają pielgrzymi, których spotykam na podwórzach i targach klasztornych. Jeść smacznie i wesołem towarzystwie, używać przyjemności długich przechadzek — oto ulubione rozrywki Alzacyi.

Lecz w miarę jak zbliża się zima, widać ztąd już tylko przez mgłę wilgotną wioski, które wydają się brunatne, ziemie o różowych odcieniach, łąki blado-zielone. Wielkie wstęgi chmur czepiają się góry, a Alzacya, u stóp jej rozpostarta wydaje się jak archipeląg na dalekiem sinem morzu.

Około południa góra ubiera się czasem w słońce, lecz równina tonie przez cały dzień w mgłach nieprzeniknionych. O kilka metrów od nas ścielą się już na wielkich obszarach sine tony opalu. Nad tem

królestwem smutku wyrastają nasze zgrzyty świetlne i radosne. Ma w sobie ten widok czar obrazów Corregia, nie jest wszelako omdlewający, a pełen podniosłej i wspaniałej tajemniczości. Rzeźko i wesoło kroczą po ścieżkach swego iskrzącego światłem państwa leśnego. Niech tylko gdzieś nad głową zatrzeszczy gałąź, a już zdaje mi się, że jacyś niewidzialni bogowie założyli tu swe zimowe siedlisko. Gdyby wolno mi było użyć porównania klasycznego, powiedziałbym, że w takie poranki kąpie się Alzacya w kropli spadłej z piersi bogini.

W niektóre dni wypełniała się równina pod wieczór barwą ciężką i mocną. Mówiąc „wypełniała”, używam właściwego określenia, gdyż z wyżyn mych widziałem wówczas doskonale zarysowującą się z drugiej strony Renu linię Czarnego Lasu, podczas gdy u mych stóp wisiała niby kadź olbrzymia, gdzie nagromadza się jakaś atmosfera smętku i szlachetnej powagi.

Piękno Ś-tej Odylii występuje w całej okazałości nietylko na tarasie klasztoru; żyje ono również w dolinach Blossy i Elsbergu, gdzie wznoszą się tajemnicze zabytki.

Dwie te płaszczyzny zajmują wraz z cyplem Hohenburg, do którego przylegają z prawej i lewej strony obszar stu hektarów. Otacza je na przestrzeni 10 kilometrów mur celtycki. Jest to ów słynny „mur pogański”. Zbudowany z olbrzymich złomów skały, ociosanych z gruba, wali się miejscami i mchem porasta; toczą go zewsząd korzenie sosen. W najlepiej przechowanej swej części niema obecnie więcej nad trzy metry wysokości; kamienie z niego leżą gęsto między drzewami, poznać je łatwo po specjalnych nacięciach. Stosownie do ukształtowania gruntu mur chowa się, wystrzela w górę, lub znika zupełnie tam, gdzie stromo ścięta ściana skały uniemożliwia wejście na nią.

Płaszczyzna Blossy doprowadza podróżnika do

skał Mannelsteinu i Szafsteinu. Dotarłszy do nich, stajemy nagle przed próżnią, przed olbrzymią otchłanią. Odkrywa się ztamtąd widok na miękką i bogatą w swej różnorodności równinę Alzacyi i na potężną grupę porosłych lasem gór samotnych. Cały szereg wzgórzy odchodzi od łańcucha Wogezów i biegnie ku równinie, z którą się zlewa. Przekładam te niezmiennie, wieczne formy nad wesołe wioski, wolę jednostajne obszary lasów nad różnorodną szachownicę pól. W górach widzę niezmierną słodycz i powagę. Kąpią się te królowe przyrody w jakiejś liniowej atmosferze. Czuję muskający twarz mą orzeźwiający prąd powietrza. Stoję na płaskim szczycie Szafsteinu, gdzie żaden mur ochronny nie dzieli mię od przepaści i spoglądam na wolną przestrzeń przed sobą. Tuż pod memi stopami wystrzelają wyrosłe, Bóg wie w jaki sposób, w szczelinach między skałami zielone i żółte gałęzie, chylące się pod podmuchem wiatru. Wzrok biegnie poprzez głęboką dolinę ku najbliższemu łańcuchowi gór bardzo niskich, podobnych raczej do wzgórzy, na których porastająca je zieleń wygląda jak ruń na grzbiecie owcy. Dalej idą nowe łańcuchy, tworzące zrazu masę sino-czarną, potem sino-szarą, wreszcie na najdalszym krańcu horyzontu ukazuje się na najwyższym cyplu smukła sylweta Hochkoenigsburgu, tonąca w złotej mgłę oparów.

Do godziny 4-ej gęste lasy, porastające góry na niezmiernej przestrzeni, rozkołysane są i zasnuwane mgłami, kładącemi na nie pieczęć milczenia w tajemnicy. Na tle tych rozległych pustkowi rysują się dwie feodalne wieże zamku Audlan i lśni wązka smuga łąki na niskim szczycie niedaleko od Spesburga. Ani sztuka malarska, ani żadne słowa nie mogą wyrazić dostatecznie siły i pogody tego krajobrazu. Zdołałaby oddać je tylko muzyka, ale wyzbyta z wszelkiej sensualności. W tej harmonii przyćmionego złota i zieleni, dusza moja wsłuchuje się

w pieśń, której treść wewnętrzna coraz więcej staje mi się zrozumiałą.

Gdy pod wieczór rzuca słońce swe blaski od zachodu do wschodu na góry, które spływają ku równinie, obniżając się stopniowo, wówczas poczynają unosić się nad tą równiną dymy płonących ściernisk. Od strony przeciwnej, od zachodu, ukazują się na sklepieniu niebios, z kądem, zda się, schodzą góry, wielkie ogniste plamy idącego na spoczynek słońca.

Zmierzyłem we wszystkich kierunkach nieskończoną ilość razy górę S-tej Odylii i jej przyległości. Niezliczone ścieżki wiją się różową wstęgą w cieniu sosen, które rozciągają nad niemi dach zieleni. Przez długie godziny piałem się wysoko lub schodziłem z pochyłości, czasem zbłąkałem się gdzieś, nigdy jednak nie spotkałem przechodnia, znikąd nie dochodził mię szmer żaden. Na stokach ciemno było pod smukłą kolumnadą sosen. Symetryę jej przerywały tylko tu i owdzie skały, porosłe miejscami mchem zieleniejącym. W dni słoneczne las pachniał jeżynami i miał wielką młodość w swej powadze. Częściej jednak wstrząsała nim burza. Wiatr rozbijał się wówczas o sklepienie drzew; do uszu moich dobiegało tylko jego żalodne zawodzenie. I choć z nieba spływały nieraz strumienie deszczu, piaskisty grunt, usypany gęsto igłami, nie stawał się nawet grzązkim.

Takie dżdżyste dni jesienne są najwłaściwszą porą do zwiedzania romantycznego nad wszystkie zamki Hagelschlossu. Jest w tej pielgrzymce jakaś rozkosz śmiertelna. Na samym krańcu płaskowzgórza wznosi się ten zamek nad murem pogańskim, jak ofiara zbrodni, zduszona zewsząd przez las otaczający. Gdy spogląda się nań z ponurej doliny, u stóp jego leżącej, wydaje się wspaniałą dziką jakąś siłą ze swym potężnym portykiem, który króluje nad ruinami budowli i nad twardą skałą. Dziwi wprost w tym obrazie dwa płatany i trzy śmiejące się akacje. Strażnicy leśni dowodzą, że jakaś siła niewidzialna

ciągnie ich psy ku skrytkom zamkowym. W dni mgliste ukazują się tam widma, jak twierdzi podanie. Niewątpliwem jest w każdym razie, że z nagromadzenia gnijących zwolna liści unoszą się wciąż zdradne wyziewy, niosące chorobę.

W ostatnich dniach października góra wciąż zmienia barwę. Rozpoczyna się ta dziwna gra kolorów w dolinach. Pysnie wyglądają wówczas łąki Tattenbachu. Lecz wkrótce mgły i opary biorą to królestwo w swe panowanie. Po ulewnym deszczu widać jeszcze czasami wyraźnie niektóre części góry, lecz z każdym dniem znika coś z jej chwały. Ale nie będę złorzeczył ciemnej i ponurej zimie. Sciera ona wszystko co mija, co jest przejściowe, wypukła to, co trwałe i niezmienne. Gdy patrzę na ziemię, na skały, na pnie drzew, łatwiej obejmuję całość obrazu w tych jego stałych pierwiastkach. Ta S-ta Odylia surowa, twarda, ogołocona z ozdoby jest taką, jaką widziałoby ją zimne oko starca. Z dorobku wieków starość usuwa wszystkie przypadkowe naleciałości i zachowuje tylko rzeczy wieczne, bloki, na których zbudowany jest gmach ludzkości. Gdy zima zdziera z góry jej ozdobę, widzę lepiej dolmeny praceltyckie, kastel rzymski i wieże feudalne, tych świadków niemal geologicznych minionych epok naszej cywilizacji. Widzę również wyraźniej w dali na horyzoncie pas gęstych oparów, unoszących się nad Renem.

VI.

Góra S-tej Odylii pociągnęła jednego z naszych filozofów. Taine poznał tu czar samotności, przestrzeni i uroczystego nastroju. Krajobrazy, które ztąd podziwiał, przejęły go uczuciem pobożnego zachwytu. Wyraził go w słynnych stronicach dumań, które są zarazem rachunkiem sumienia i modlitwą.

„Na wyżynach tych zrębów—mówi—odrywamy się prędko od rzeczy ziemskich. Dusza powraca do swej pierwotnej ojczyzny: do milczącej rzeszy form

wielkich, do cichych zastępów istnień, nieobdarzonych myślą. Rzeczy są boskie, dlatego też trzeba stwarzać bogów, by je wyrazić. Pierwsze religie, to tylko prosta mowa, mimowolny krzyk duszy, która odczuwa wielkość i wiecznotrwałość rzeczy, a jednocześnie widzi ich cechy zewnętrzne. Gdy odnajdujemy naszą treść wewnętrzną, ukrytą pod powłoką słów wyuczonych, widzimy, że żyjemy w głębi naszej istoty antyczną koncepcję świata, czujemy, że rozsnuwają się w niej marzenia, jakby wyjęte z Vedy i Hezyoda z ust naszych płyną strofy Eschylosa, gdzie po za legendą ludzką czuć majestat rzeczy i słyhać chór wszechpotężny mór, rzek i lasów. Wówczas mózg nasz dokonywa stopniowo pracy, która się odbyła w umyśle pierwszych ludzi; określamy i wcielamy w siłę, przedstawioną przez istotę ludzką, świeżość i siłę rzeczy. Myt wschodni w naszej duszy i gdybyśmy byli poetami, wykwitłby w niej pełnym kwiatem. Zobaczylibyśmy wówczas my również te wielkie postacie, zrodzone w drugim okresie myśli ludzkiej, noszące jeszcze na sobie piętno pierwotnego sposobu pojmowania świata, tych bogów, pokrewnych rzeczom, Apollona, Palladę, Dianę, pokolenia behaterów, którzy mieli za przodków niebo i ziemię i przechowali w swych postaciach coś z wielkiego spokoju tych praźródła. W braku zdolności osobistego odczucia, możemy oddać się w pieczę poetom, aby wskrzesili dla nas widok, którego nie umiemy znaleźć, my, ułomni. Otwórzmy „Ifigenię“ Goethego.”

Tak mówi Taine i po tej szlachetnej przedmowie wynosi we wspaniałych słowach Dziewicę z Myceny, poświęconą i poświęcicielkę, najczystsza postać starożytności Grecji, najwięcej skończona arcydzieło sztuki współczesnej: syntezę tego, co najdoskonalsze.

Ten piękny wzlot ducha świadczy, że godziny, spędzone na S-tej Odylii, są musowo godzinami modlitwy; stanowi on wyraz wrażeń, jakich doznaje

wielki umysł wobec natury północnej. Hymn, wyśpiewany tu przez Taine'a, jest nam podniętą ideową, rozgrzewa nas, nadaje naszym uczuciom nastrój bohaterski, lecz nie formułuje nic takiego, cobyśmy pożytecznie wyzyskać i w czyn przetworzyć mogli. Jest to podniosłość bezpłodna.

Dolmeny, menhiry, potężny mur druidyczny, castellum rzymskie, klasztor, zamki średniowieczne dostarczają obcemu przybyszowi rozrywki i nie dają mu nic po za tem. Każdy Alzateczyk jednak powinien wiedzieć, że ta szlachetna góra dźwiga takie przeładowanie pamiętek nietylko dla dostarczenia mu celu przechadzek i tematu do marzeń. Śladem tych kamieni, rozsianych po stokach S-tej Odylii, kroczy męzka inteligencya ku grobom swej ojczyzny. Góra S-tej Odylii przedstawia wynik wspólnej pracy natury i historii. Wszystkie jej siły twórcze zwały się tu w wielki hymn cywilizacji.

Taine zrozmiałyby tę dyscyplinę duchową, którą nakazują Alzateczkowi jego ziemia i jego zmarli, gdyby sam nie był się tak oderwał od swych ojczystych Wogezów. Myśli, które wypowiada, są trwale i płodne ilekroć pamięta, że jest synem notaryusza z Vouziers, że był chłopięciem, którego umysłowość urabiała się pod wpływem przechadzek w lesie. Na S-tej Odylii nie umiał poddać się wpływom miejsca, zrozumieć nauki, którą głosiły te wały i groby i w tem leży błąd jego. Jego myśl nie umie zespolic się z horyzontem Wogezów i Renu. A człowiek, który rządzi się tylko subtelnem wyczuciem natury, zbłądzi w naszych lasach, choćby sam Wirgiliusz prowadził jego kroki. Tylko ojcowie nasi mogą nam być przewodnikami w tej pielgrzymce.

Gdyby wyrażono w marmurze hymn Taine'a, Ifigenia niemieckiego poety wznosiłaby się dziś na tarasie klasztoru. Stanowiłaby *pendant* do sztandaru niemieckiego, który powiewa na Hochkoenigsburgu, u przeciwnego krańca horyzontu. Dowodzi to przez

doprowadzenie do absurdu, że na polu walki niema miejsca na fantazyę.

Tradycye szkoły normalnej, pseudo-helleńskiej, antikatolickiej i germanofilskiej nie mogą znaleźć zastosowania na górze S-tej Odylii. Wypadki roku 1870-go wykazują lepiej nad wszelkie dowodzenia błąd Taine'a, a raczej jego niesubordynacyę mózgową.

Gdy staję na tej świętej ziemi, z którą zwały się istnienia mych ojców, czuję, że wszystko oddycha tu nimi i uczy mnie ich dziejów. Czuję się podległym mocom twórczym, które mogę wyraźnie określić. Znajomość dokładna tych mocy chroni mię od błędzenia i uczy miłości dla przodków, którzy tchnęli duszę w tę naturę. Nie zaprowadziłbym na górę S-tej Odylii greckiej dziewicy, aklimatyzowanej w Wejmarze przez Goethego. Czczę tu S-tą Odylię za to wszystko, co sobą uosabia i poddaje się jej, by pozostać na najwłaściwszych dla mnie drogach rozwoju.

Odylia, jak opisuje ją nam historia, była córką Adalryka, który w drugiej połowie VII-go stulecia rządził naszą ziemią z ramienia Merowingów. Był on oddany rodzinie Pepin'ów, posiadaczy wielkich obszarów pomiędzy rzekami Meuse'ą i Mozellą, którzy wkrótce potem dać mieli początek dynastji Karolingów. Członkowie tego rodu umieli pojmować ducha swego czasu i okazali się odnowicielami idei państwowej. To też ludzie, którzy pierwsi myśli ich w czyn wprowadzali, mogą być uważani za sojuszników Francji, wiernie dla niej pracujących.

Na skutek zatargów natury politycznej, Adalryk skazał na śmierć męczeńską S-go Léger'a i S-go Germiniusza. Nie przeszkadzało mu to być dobrym chrześcianinem. Dręczony wyrzutami sumienia, zbudował klasztor, którego pierwszą przeoryszą była jego córka, Odylia.

Góra, nosząca dziś jej imię, była tym podatnym gruntem, na którym wyrość mógł łatwo krzew

narodowy. W III-cim czy IV-ym wieku przed Chrystusem, Celtowie wzniesli na niej mur pogański. Przechowały się na jej szczycie ślady galskiego oppidium, jako też kolegium kapłańskie druidyczne. Zwycięzcy Rzymianie postawili tu warownię, po której pozostały jeszcze szczątki. Prawdopodobnie odbywano tu pielgrzymki na cześć Rosmerthy, bogini, czczonej na wschodnich okrainach. S-ta Odylia znalazła tu nagromadzony dobytek wieków, do którego dań swą dołączyła. Była jak ziarno, padające na ziemię bogatą, a mające te w sobie zadatki, by wybijać wysoko i prosto.

Zjawienie się jej na wyżynach Hohenburgu, wywołało wielkie zdumienie, którego echem są cudne opowieści literatury hagiograficznej. Łatwo wyobrazić sobie radosne wzruszenie, jakie owładnęło umysłami. Zniknęli już byli wówczas naznaczeni przez Imperję wielkorządcy prowincyi, pozostały tylko władze duchowne. Katolicyzm — to był jeszcze Rzym, jego ład i porządek. Twardzi, egoistyczni, żyjący w anarchii barbarzyńcy, chwytający się łatwo oręża dla powiększenia własnego dobytku, lecz niedbali o dobro publiczne, czuli, że jeśli nie oprą się na odpowiedniej tradycyi, nie podołają rządowi nad tą Galią, która przypadła im w udziale, nad tą krainą miast i ziem uprawnych, wytwornych form życia i myśli, cywilizacyi bardzo pełnej — krainą, która miała swoje wyraźne ideały. Przyjęcie formuł, które przynosił im chrześcijaństwo, leżało w ich interesie i było warunkiem ich powodzenia. Przyswajając je sobie, zromanizowali się w pewnej mierze.

Odylia była widomym znakiem i rękojmnią porozumienia, które nastąpiło pomiędzy niedawno przybyłym zwycięzcą i cywilizowanym klerem. Przedstawia ona ideał pokoju, miłosierdzia, dyscypliny, przedstawia myśl przewodnią, którą analiza może oddzielić od katolicyzmu, lecz która wyrosła w cieniu kościołów i zachowa na zawsze ich piętno. Dziewica ta otoczona była tak ogólnem uwielbie-

niem, że ogłoszono ją za świętą; poeci i uczuciowcy idąc za przykładem polityków, poczęli tworzyć i szerzyć jej legendy. Imię Odylii mówi nam o zwycięstwie cywilizacyi łacińskiej, lecz jest ono zarazem westchnieniem ulgi Alzacyi, wspomnieniem życia, poświęconego dobru publicznemu.

VII.

W jaki sposób odwieczne formy życia Alzacyi przystosowują się do obecnych okoliczności.

Na to, by legenda Ś-tej Odylii zachowała całą swą doniosłość na ziemi, gdzie napływa wciąż z za Renu nowa fala ludzka, trzeba było, by wszystkie następujące po sobie pokolenia wyrażały zgodnie uznanie dla postąpienia córki Adalryka, wyzwalającej się z więzów brutalnej tradycji swych ojców. Trzeba było, by kwiat tego społeczeństwa uważał stale za zwycięstwo duchowe zaszczepienie myśli łacińskiej na pniu germańskim. Dziś, jak dawniej pierwiastki germański i gallo-romański stykają się ciągle na tym bogatym szmacie ziemi, nad którym króluje góra Ś-tej Odylii. Idea, której wcieleniem była legendowa córka dzikiego Adalryka, pozostaje najwięcej żywotnem zagadnieniem chwili obecnej. I oto dlaczego jest i pozostanie Odylią patronką Alzacyi, gdy jednocześnie zanikła pamięć o tylu słynnych świętych, których imion nie wiązało już nic z rzeczywistością.

Nasza ziemia wydała tę piękną postać w okresie, gdy byliśmy bliżej ziszczenia się wielkich prze-

znaczeń, w zaraniu doby Karolingów, gdy chrześcijaństwo nie nałożyło jeszcze dość mocnej dyscypliny na młode siły barbarzyńców. Lecz święta Odylią nie należy do żadnej epoki. Jest wytworem wieczystej Alzacyi, najwyższym symbolem myśli alzackiej. W tem co przemija, przedstawia sobą to, co pozostaje niezmiennie.

Cele i zadania, którym hołduje Alzacya, czczą tę świętą, przejawiały się w całym szeregu czynów na długo przed jej narodzeniem i oddziaływają w dalszym ciągu na nasze życie, gdy ona zeszała już od wieków z widowni świata. Wyrazem tych zadań była cytadela rzymska, był mur druidyczny, stawiający opór napływowi Cymbrów i Teutonów, była straż przednia, czuwająca nad Renem, w Manuelsteinie i Wachsteinie—wszystko jednym słowem, co przyczyniało się do szczepienia cywilizacji romańskiej na gruncie germańskim. Prowadzono to dzieło ciągle bez wytchnienia, choć nie zawsze jednakowo pomyślnie w skutkach. Bardzo wiele dokonali w tym względzie Ludwik XIV i Napoleon. Dzięki wytrwałemu wysiłkowi wieków, mieliśmy wreszcie osiągnąć całkowite rezultaty, gdy napływ germański z 1870 roku, przygniótłszy ducha łacińskiego, zachwiał podstawy naszego tu istnienia. I oto trzeba nam znów cudu jak za czasów Adalryka. Trzeba, by ów napływ germański wsiąkł w naszą ziemię, pozwalając ujawnić się naszej duchowości, na którą złożyły się pierwiastki: celtycki, romański i francuski.

Nasz obowiązek Alzaczyców nie przemawia do nas nigdzie równie głośno jak na tej górze. Płonie ona jak krzak ognisty nad tą ziemią. Błaski, które rzuca na wsze strony, nie pozwolą nam zbłądzić na manowcach przypadku. Ci, którzy znieśli te kamienie, ten mur, te menhiry, ten klasztor zniknęły oddawna, lecz przetrwało po nich to, co odpowiadało wewnętrznej potrzebie narodów, co

stanowiło siłę wieczną, nieprzemijającą, która chce i powinna być wyzyskaną właściwie.

Zromantyzowanie Germanów jest stałem dążeniem synów Alzacyi i Lotaryngii. Do tego wniosku doprowadzają mię rozmyślenia me na górze S-tej Odylii. Potwierdza go znaczna ilość faktów.

W obecnym stanie rzeczy Alzatzycy i Lotaryńczycy nie mogą już pracować wspólnie z nami, a nie chcą współpracować z Niemcami. Czy powinni dlatego uleść zniechęceniu? Pragnąłbym, by przyjęli dyrektywę duchowną, której ja osobiście chciałbym się trzymać, a która bierze w rachubę stosunki, jakie istniały po wsze czasy pomiędzy Francją, Alzacją, Lotaryngią i Niemcami, a zarazem tłómaczy i usprawiedliwia naturalne tendencje naszego postępowania. Opiera się ona na licznych faktach historycznych i zadawalnia wszystkie pragnienia naszego serca. Jest w zgodzie z naszą przeszłością i pozwala nam przewidywać taką przyszłość, jakiej z drugiej strony nakazuje nam oczekiwać szlachetność naszej rasy.

Kto nie zna uczucia niepokoju, jakiego niektórzy ludzie doznają wobec czynu, dopóki nie zdobyli jakiejś podstawy wewnętrznej dla swej działalności, ten nie zrozumie głębokiej radości, która przeniknęła mą duszę tej jesieni, gdy legenda i góra S-tej Odylii dostarczyły mi tej podstawy. Mogłem teraz modlić się z prostaczkami. „Święta Odylio! Patronko Alzacyi.”

Jednakże w uczuciu tem była pewna domieszka goryczy, bo choć widziałem przed sobą cel mój prawdziwy, stawało mi jednak jednocześnie na myśli opustoszenie Lotaryngii, przetworzenie Strasburga na niemieckie miasto. Czy te uwięzione królowe będą zdolne narzucić zdobywcy swego ducha i pozostać mu same wiernymi?

Dobrze jest mówić, że zwyciężeni podbijają siłą ducha swych twardych władców. Ta prawda historyczna, filozoficzna, zasadnicza powinna być pobud-

ką szczerze obywatelskiej działalności na lewem wybrzeżu Renu. Lecz w jaki sposób stanie się to, co stać się musi koniecznie? Co mówić będzie głośno Alzatzycy i Lotaryńczykowi o tym obowiązku, który filozof dojrzy i zrozumie, nie umiając wskazać dróg jego wypełnienia? W jakiej formie przebudzi się znów do życia i czynu instynkt cywilizacyjny łaciński, który od wieków przejawiał się tak znamiennie u ludności tej ziemi? W jaki sposób Alzatzyk i Lotaryńczyk wypełnią swe przeznaczenie?

Przypominam sobie ów wieczór jesienny, gdy, przechadzając się po drogach S-tej Odylii, umacniałem się w myślach, które zrodziły się we mnie wobec tego krajobrazu. Pełne precyzji i siły, nie wykluczały jednak głębokiej i nieokreślonej zadumy, budzącej się w duszy wobec zwalisk historycznych i bezbrzeżnych lasów. Z pod sklepień klasztornych, z głębi boru i z wsi okolicznych płynęły dźwięki dzwonów modlitewnych, rozbrzmiewały dzwonki trzód dalekich. Wszystko świadczyło tu o trwałem istnieniu góry i o znikomości rzeczy. Aż do śmierci zachowam w pamięci błonia S-tej Odylii, porośłe delikatnem kwieciami zimowitu, i myśl zmarłych, którzy na nich spoczywają. Podczas tej przechadzki powtarzałem sobie, że tradycja sama przez się jest tylko kwiatem, czuwającym nad zmarłymi, póki nie wyłoni się żywa wola, która słowo w czyn przekształci.

Z równiny dążyły na górę zastępy mężczyzn, kobiet i dzieci, przeważnie Alzatzyków. W całym sposobie zachowania nie tylko nie wyglądali na zwyciężonych, lecz przeciwnie czynili wrażenie ludzi w wysokim stopniu pewnych siebie, mających silnie ugruntowane i szlachetne przywyknienia. „Ci ludzie, myślałem, poświęciliby się na pewno z łatwością za Francję na polu bitwy, lecz pragnąłbym wiedzieć, czy każdy z nich, pochłonięty w życiu codziennem przez swe osobiste sprawy, mo-

że znaleźć w sobie dostateczną energię, by zwalczać germanizm?

Tak rozmyślając, doszedłem o zachodzie słońca do Mannelsteinu, gdzie w pośród zieleni sosen wznosi się kiosk, z kąd roztacza się widok na drogę od S-tej Odylii do Barru. Nagle wtargnęła tam w ślad za mną gromadka członków klubu wogezyskiego, którzy wracali z klasztoru, gdzie spożyli byli śniadanie i zapili je obficie miejscowem winem. Na czele ich szła jakaś para małżeńska: krótkka i okrągła kobiecina, zawieszona u ramienia swego męża, wojaka olbrzymiego wzrostu, czyniącego wysiłki, by iść z powagą, jakiej wymagał jego stopień Turyści weszli z wielkim hałasem, lecz wnet zamilkli, przejęci zachwytem wobec piękna krajobrazu. U stóp naszych falowały w nieskończoność lasy, w dali słodka równina Alzacyi tonęła w czerwonych blaskach słońca. Gruba Niemka rzuciła się na szyję mężowi i łzy, prawdziwe łzy zachwytu (a i roztkliwienia, wywołanego przez libacye) popłynęły z oczu tej Walkyrii.

— Ah, Frycu! Frycu! — zawołała. — Jaką cudną zdobyłeś dla nas ziemię.

Ja zaś myślałem, patrząc na nich: „Co zamierzacie uczynić z krajem, który zbudowali nasi ojcowie? I co uczyni ten kraj, który choć milczy, pełen jest żywotności; jaki chleb ugniecie z waszej barbarzyńskiej mąki?

W chwili, gdy czyniłem te refleksye, otworzyły się drzwi szaletu, z przeciwnej, prowadzącej od Barru strony i ukazał się w nich... Ehrmann.

Teraz już nie mogliśmy uniknąć się wzajemnie. Powróciliśmy razem do klasztoru, gdzie młody Alzaczyc miał pozostać przez dni kilka. Mówiliśmy o rzeczach obojętnych. Przeczynałem, że Ehrmann mógłby pomódz mi bardzo do ściślejszego pogłębienia zagadki, jaką były dla mnie przysze losy Alzacyi i Lotaryngii, lecz nie wydało mi się wskazanem udzielać mu wyników mych osobi-

stych spostrzeżeń w ugrupowaniu, jakie przyjęły w mym mózgu. A jednak ten sposób pojmowania naszego osobistego doświadczenia, jako przyczynku do wiekowej historii naszego narodu, który wydałby się pedantycznym Paryżanom, odpowiada, jak sądzę, składowi umysłu pokoleń wyrosłych na pograniczu franko-germańskim.

VIII.

Spuścizna.

W jasne popołudnie dnia następnego szliśmy razem ku zamkowi, Ottrott. Opowiadałem Ehrmannowi, jak przyjemnych wrażeń dostarczył mi ten jesienny pobyt na S-tej Odylii. Słuchał mię jak kochanek, przed którym wysławia ktoś jego lubą i który uważa, że należałoby właściwie podnieść jeszcze o ton jeden pochwały.

Alzaccyzy mało wogóle wierzą w bratnie dla nich uczucia Lotaryńczyków. Między mną i mym towarzyszem nie było nieufności, lecz istniało pewne napięcie. Zdawało mi się, że Ehrmann bada mię pilnie. Jego młodzieńcza, wojownicza postać tak mi była sympatyczną, że postanowiłem przelać koniecznie lody.

— Lubię, rzekłem, równinę i lasy Alzacji, lecz pociąga mnie w niej najwięcej energia charakteru mieszkańców. Nasza Lotaryngia nie wyrpze się swej przeszłości pod naporem Niemiec, ale znosi ten napór. Wy zaś reagujecie przeciw niemu w sposób wspaniały. Przytoczę panu przykład: widziałem piękną walkę w kawiarni „Variétés”

w Strasburgu pewnej soboty w okolicach Wielkiej Nocy.

I położyłem przyjaźnie rękę na jego ramieniu.

— Ah, byłeś pan tam?—zapytał.

Wspomnienie tak przyjemnego wieczoru pobudziło młodego wojaka do szczerzej wesołości, był jednak nieco zakłopotany na myśl, że skompromitował może swą godność doktorską.

— Panie Ehrmann,—mówiłem dalej tonem na pozór obojętnym, ażeby ułatwić młodemu człowiekowi uniknięcie odpowiedzi, gdyby jej dać nie miał ochoty,—panie Ehrmann, dlaczego u licha pozostajesz w Alzacji, gdzie cierpieć musisz niezawodnie?

Jakkolwiek w mem własnem przekonaniu pytanie to było dość niedyskretne, nie zdziwiło jednak mego interlokutora, gdyż miał już na nie gotową odpowiedź.

— Tu jest—rzekł—moja spuścizna po przodkach; nie mam ani ochoty, ani zamiaru wyrzekać się bogactw już stworzonych.

Wskazał ręką na ścielące się u stóp naszych obszary i uderzył się w piersi, pokazując bogactwa naokoło siebie i w sobie.

Akcent, gest, formuła, w którą myśl swą zamknął—wszystko przejęło mię zachwytem. Doznałem tej rozkosznej niespodzianki, jaką sprawia stwierdzenie, że ludzie, których osądziłyśmy niewłaściwie na podstawie ich obejścia, nie przystosowanego do ich istoty wewnętrznej, są materiałem szlachetnym i bogatym. Dotąd przebywałem w dziedzinie abstrakcyi, zastanawiałem się nad filozofią życia Alzacji. Obecnie stałem wobec człowieka, Alzaccyżki z krwi i kości, który — o ile bym umiał wziąć się do tego umiejętnie — odkryłby przedemną swą duszę. To też, gdy Ehrmann zaczął mówić, słuchałem go nie przerywając, nie pokazując nawet, jak mię to, co mówił, zaciekawia. Obawiałem się, że

zarówno słowa uznania, jak najłżejsza choćby krytyka przeszkodzi mu do wypowiedzenia się z całą wspaniałą szczerością.

— Po kilkakroć—rzekł—byłem we Francji. Wszystko wydaje mi się tam słodkiem, wszystko wywiera wpływ cywilizacyjny. Na tej ziemi, którą wielbię, jestem niejako w szkole. Ale nie mogę zastosować w życiu wielu z pięknych rzeczy, w których mię ona kształci. Tu, na wycieczkach, które odbywam po raz setny, przemawia do mnie na każdym kroku głos ziemi. Wszystko ma tu dla mnie doniosłość i wagę: pola, fabryki, zakłady przemysłowe, nawet oberże. Rad jestem, że lubisz pan górę Ś-tej Odylii, żałuję tylko, że żywią cię źle w klasztorze. Jestem w Alzacyi, jak oracz, zrodzony na glebie, którą uprawiali już jego rodzice i czujący w sobie coś z właściwości drzew, łąk, trzody, którą chowa. Dlatego też może nasi goście z Francji, którzy widzą chwałę Alzacyi, nabierają dla nas pewnego poszanowania. Ale gdy zobaczą Alzaticzka w Paryżu, lub choćby w Nancy, drwić będą z jego akcentu i rościć do niego pretensje za jego współrodaków, którzy głosowali za Francją! Tu jestem na posterunku, który powinienem zajmować. Przebiegłem wzdłuż i wszerz całą Alzację; umiem tu rozmawiać z ludźmi wszystkich stanów, z ludem z którego łona wyszedłem; mogę tu nawet wywierać wpływ pewien. Ojciec mój cieszy się szacunkiem swych spółrodaków, wszędzie prawie mamy rodzinę i krewnych, znają ogólnie nasze imię. Ja sam zacząłem już oddawać pewne usługi. Moja ojczysta ziemia jest mi najodpowiedniejszym polem działalności.

Słowo „usługi” wywołało na me usta uśmiech mimowolny. Sądziłem, że upoważniło mię do wtrącenia lekkiej uwagi.

— Rzeczywiście—rzekłem—z błogością tłuksł pan Prusaka.

Spostrzegłem się, że popełniłem błąd, zapó-

żno jednak. Daremnie próbowałem naprowadzić Ehrmana na nowe zwierzenia; szedł przedemną, milcząc uparcie.

Droga, prowadząca z Elsbergu w dół ku różowiejącym zamkom Ottrottu, który iskrzył się na tle zieleni w złocistych blaskach słońca, jest jedną z najpiękniejszych ozdób Ś-tej Odylii.

Doszedłszy do domostwa leśniczego, usiedliśmy przed niem za stołem z białego drzewa. Jakaś młoda kobieta dość okazałych kształtów, wyglądająca niezbyt czysto, przyniosła nam miodu i kawy z mlekiem. Przywitała Ehrmanna z uprzejmym uśmiechem na szerokiej twarzy, ale w chwilę potem była już tylko na tej twarzy obojętność i ospałość zwierzęcia. To też zdziwiony byłem, gdy nie chciała przyjąć pieniędzy.

— Nie nalegaj pan—poradził mój towarzysz.—Przyjemnie jej, że mogła nas ugościć. Kup pan od niej natomiast kilka pocztówek; należy rozwijać w naszych Alzaticzkach życzliwe uczucia dla Francuzów.

Gdy znów zagłębiliśmy się w gąszcz leśną, spytałem mego towarzysza, czy zna dobrze tę kobietę.

— Przed chwilą—odrzekł mi—uśmiechnąłeś się pan, gdy mówiłem o usługach, które zdarzyło mi się oddać tu i owdzie. Nasz sposób mówienia rzeczy prosto i wyraźnie trąci dla Francuzów naiwnem samochwalstwem, wydaje im się wprost śmiesznym. Nie miałem jednak zamiaru przypisywać sobie jakichś zasług wyjątkowych. Ale jestem lekarzem i jako taki, mogę być ludziom pożyteczny. Otóż zdarzyło się, że w sposób dość rzeczywiście szczególny ocaliłem życie tej kobiecie. W kuracji tej ucieszyło mię nie to, że będąc jeszcze bardzo młodym i nie posiadając tytułu doktorskiego, przeprowadziłem ją dobrze, lecz raczej przeświadczenie, że uratowałem ją mimo woli otoczenia, a nawet wbrew jego woli, wprost gwałtem, rozumie się nie w celu zjednania

sobie tych ludzi, a tylko dlatego, że trzeba zawsze dążyć tam, gdzie widzimy prawdę.

Nie umiem określić, czy sposób mówienia Ehrmanna, dla którego zdawała się nie istnieć ironia był mi sympatyczny, czy nieznośny. Poprosiłem go o opowiadanie mi w szczegółach całej tej historii.

— Rok temu mniej więcej—zaczął mówić,—na krótki czas przed poznaniem się w Lotaryngii, wracałem z S-tej Odylii. Przechodząc koło domu, w którym podwieczorkowaliśmy przed chwilą, zobaczyłem ludzi, będących w stanie wyraźnego przerażenia. Mąż tej kobiety, człowiek naiwny nieco, dziki i ograniczony, będący leśnikiem w prywatnej posiadłości, zawodził głośno: „Moja żona umiera! moja żona umiera.” Jego stara matka wyła wprost z rozpacz. Oprócz nich i chorej było tylko w domostwie trzyletnie dziecko. Mężczyzna wahał się z pójściem po doktora do Ottrott, zkąd mógłby go przyprowadzić dopiero o bardzo późnej godzinie. Zdecydowałem się przyjść mu z pomocą i oznajmiłem, iż jestem lekarzem. Wszedłem do izby. Z łóżka, na którym spoczywała kobieta, spływała na ziemię wąska struga krwi. Chora miała gwałtowny krwotok. Kazałem matce zagotować jak najprędzej wody, zdjąłem kurtkę, zawiązałem rękawy. Nie będę wdawał się w opisywanie panu niepotrzebnych szczegółów. Wytłómaczyłem mężowi w jaki sposób ma mi pomódz do odpowiedniego ułożenia żony i jak ma ją następnie trzymać. Był zielono-siny, jego matka zaś wydawała się napół obłąkana. Chora krzyczała w niebogłosy.

— Proszę panią—rzekłem—o trochę cierpliwości, chodzi tu tylko o pani dobro. Gdybyśmy nie zajęli się teraz panią, mogłabyś umrzeć.

Nagle krew rzuca się znowu silniej, stara

matka pada na ziemię zemdlona, mąż chwyta żonę w pól i woła:

— Nie umieraj! nie umieraj! A zwracając się do mnie: „Zbrodniarzu! morderco, jesteś wcielonym dyabłem, zabijasz moją żonę“!

Ja robiłem dalej swoje, zachowując całkowity spokój, nakazując mu pomagać mi. Ale on chwycił mnie oburącz i zaczął odciągać od łóżka. Odepchnąłem go gwałtownie. Wówczas wybiegł na podwórze i powrócił po chwili z siekierą w rękę. Zerwałem się od łóżka, chwyciłem za krzesło i rzuciłem je w niego, następnie wyrwałem mu z rąk siekierę i, ujawszy go w ramiona, wyrzuciłem za drzwi, zakręciłem klucz i zamknąłem szybko okno. Poszedłem do kuchni zobaczyć, czy gotuje się jeszcze woda. Musiałem sam obmyć się po raz drugi. Chłopisko z całych sił biło nogami o drzwi. W ciągu 10 minut skończyłem z moją chorą. Wówczas, zmoczywszy ręcznik zimną wodą, zacząłem uderzać nim po twarzy starą matkę, która ocuciła się z omdlenia. Dajcie mi teraz—rzekłem—czyste prześcieradła; ułożymy porządnie waszą córkę.

Podniosłem chorą i położyłem ją na piernacie. Przewróciłem z matką materac i zmieniliśmy pościel.

— Czy macie tu jaki mocny likier?

— A jakże.

— Proszę przynieść go chorej.

Pacjentka moja, napiwszy się orzeźwiającego trunku, powróciła zupełnie do siebie. Zapewniłem ją, że nie grozi już jej żadne niebezpieczeństwo.

— Czy to tylko pewne? pytała stara.

— Najzupełniej

Wówczas padła na kolana, dziękując niebu. Często bywamy świadkami podobnych scen, a są one wzruszające.

W chorej krew poczyniała krążyć żywiej, otworzyła oczy. Jest to pocziwe stworzenie. Na pół zemdlona była świadkiem całej sceny i obecnie

dziękowała mi wzrokiem, wyciągając jednocześnie do mnie rękę.

Zdecydowałem, że możemy pozwolić wejść mężowi. Siedział na kupie gnoju na wprost drzwi i płakał gorącemi łzami.

— Chodź prędzej! Ludwika jest ocalona!— wołała stara.

Od progu już zaczął się śmiać do żony, która patrzyła nań łagodnie i zbliżywszy się do niej rzucił się, szlochając, na łóżko. Nie znam nic śmieszniejszego od mężów, którzy omal że żon swych nie postradali. Przejawiają swe uczucia w sposób zupełnie dziecinny. Zamęczają chorych i doprowadzają doktora do szczytnej irytacji. Mąż mojej pacjentki przejawiał swe wzruszenie w sposób zupełnie pierwotny. I powiedzieć tylko, że omal jej nie utraciłem! powtarzał nieustannie. Poradziłem mu, żeby nie dusił żony. Przypomniał sobie wówczas o mej obecności.

— Panie doktorze! co też ja zrobiłem! Niech mi pan wybacz.

Wypiłem kieliszek likieru. Poczęli mię prosić, bym przyjął rozpoczętą butelkę, a oprócz niej inną jeszcze. No i gdy tu przychodzę, częstują mię, jak pan widzisz, kawą.

— Swoją drogą, panie Ehrmann, ta kobieta, która nie żyłaby już, gdybyś nie przechodził był przypadkowo mimo jej domu, zdaje mi się zachowywać wobec pana zbyt obojętnie. Uważam, że powinna tańczyć z rozradowania i wdzięczności, za ledwie cię ujrzy na zakręcie drogi.

— Uwaga pańska jest bardzo nie medyczną. My, lekarze, wiemy, jak się to zazwyczaj dzieje. W miarę tego, jak wraca zdrowie, zaciera się wspomnienie choroby. W pierwszej chwili całują nam ręce, jesteśmy bogami; w sześć miesięcy później, gdy posyłamy rachunek, uważają nas za natrętów. Nie sądzę, by jakikolwiek doktor, lubiący zawód, liczył na wdzięczność chorego. W danym wypadku

należy przytem wziąć pod uwagę naturalną szorstkość tych ludzi, żyjących na uboczu od świata, przedzierających się przez gąszcze leśne, pracujących nad miarę i wskutek tego ciężkich, niedbałych i obojętnych na wszystko; są to istoty na pół dzikie, przedstawiające jednak piękny zapas sił nie-
spożytych. Wszystkie ich podziękowania mniej by mi były przyjemnymi, niż zdrowy wygląd tej ładnej samicy, którą zachowałem gorze S-tej Odylii. A przytem, czy uważa:z pan za nic satysfakcję medyczną człowieka, który w piątym semestrze poradził sobie w takiej okoliczności bez żadnego instrumentu?

Poznałem po tych słowach człowieka, który umie wznosić się duchowo nad swe czyny. Lubię z takimi obcować. Panu Ehrmannowi brak było lekkości umysłu, lecz pojmował wzamian głęboką treść rzeczy. W pospolitej historii, którą mi opowiedział, była pogoda, jędrność i dużo godności, która zakrawała mocno na poezję.

Nie obawiałem się już zadawać mu pytań; wiedziałem, że nigdy nie postawię go w konieczności przyznania się do rzeczy złych i brzydkich. Zupełnie więc obcesowo zagadnąłem go o dręczące mię wątpliwości.

— Niech żyje Alzacya panie Ehrmann, lecz po za nią jest jeszcze Francya. Zdaje mi się, że pojmuję i oświadczam ci, że szanuję twój patriotyzm alzacki. Pozwól mi pan jednak zapytać cię, czy jesteś jeszcze do pewnego stopnia Francuzem i w jakiej mierze nim jesteś.

Dość długo już przyglądałem się krajobrazowi jesieni i żyłem w dziedzinie abstrakcyi historycznej. Młody dr. Ehrmann dostarczał mi sposobności do poznania duszy syna Francyi, pozostającego na służbie Niemiec. Ufałem, że otworzy przedemną tajne głębie swej myśli i pozwoli mi zebrać obfite żniwo faktów.

Przez cały ten dzień Ehrmann opowiadał mi

czem jest Francya dla małego chłopca alzackiego ze sfery mieszczańskiej.

Urodziłem się, mówił, w Lagelbachu, w okolicach Kolmaru w r. 1880-ym. Moja matka umarła, dając życie memu bratu, gdy miałem lat cztery. Mój ojciec jest dyrektorem fabryki. Zarabia 15 tysięcy franków rocznie, które pozwalały nam zawsze pędzić życie dostatnie. Pracowita burżuazya alzacka nie ma nadmiernych potrzeb i wymagań. Ale też po śmierci ojca nie znajdziemy nic w szkatule.

Do pozostania w Alzacyi po wojnie mogłaby już była skłonić ojca konieczność zachowania zajęcia, które zapewniało egzystencye całej rodzinie. Lecz zdecydował się na nie z powodów natury moralnej. Opuszczanie kraju było, zdaniem jego, zgubniejszym w skutkach dla Alzacyi, niż bitwa pod Froeschwiller. Przewiduje on, ze smutkiem, chwilę, gdy nasze fabryki dostaną się w ręce niemieckie. Odkąd przyszedłem na świat, słyszę wciąż naokoło siebie: powinniśmy pozostać w kraju. Nie bądźmy jak żołnierze 1870 roku, pełni serca, ale kierujący się fałszywą myślą przewodnią. Wysiedlanie się do Francyi nie ma żadnej racyi, nie jesteśmy tam niezbedni, w Alzacyi zaś mamy do spełnienia obowiązki. Mój ojciec liczył zawsze, że brat mój obejmie po nim posiadłość, a ja osiedlę się jako lekarz w Kolmarze. Lekarz i dyrektor fabryki zajmowali w dawnej Alzacyi (więcej jeszcze niż w dzisiejszej)—dość wybitne stanowiska. Ojciec nasz pragnął jednym słowem, by jego synowie byli pożytecznym materiałem w tamie odpornej, wznoszonej przeciw Niemcom.

Znasz pan Kolmar, zwiedzałeś muzeum w klasztorze Unterlinden, widziałeś w katedrze Madonnę w różach Marcina Schoengauera. Lecz nie możesz odczuć co przedstawia ta stara niewielka miasteczka francuska dla tego, kto spędził w niej dziecinne lata, bawiąc się bez końca na placu publicznym, wysadzonym rzędami topoli.

W rodzinie mówiliśmy zawsze po francusku i jak inni klasyfikują ludzi według bogactwa, orderów lub tytułów, my dzieliliśmy naszych spółziomków na dwie kategorie, stosownie do języka jakim mówili. Alzateczycy żywią ogólnie przekonanie, że znajomość języka francuskiego nadaje pewną arystokrację duchową. Uczyłem się czytać w historii Francyi Bordier'a i Chartona, zaopatrzonej w liczne drzeworyty, które żyją głęboko w mej pamięci i są mi symbolami, około których grupują cały mój nabyty później zapas wiadomości. Utrzymywaliśmy stosunki z ojcami, matkami, braćmi oficerów francuskich. Nieraz w dniu 14-ym lipca udawali się ci nasi przyjaciele do Belfortu, by ucisnąć swych najbliższych. Rozmawiałem o wojnie 1870 roku, o Meksyku, o kampaniach Włoskiej i Krymskiej ze starymi żołnierzami, którzy pracowali u nas jako robotnicy. Jak daleko sięgam wspomnieniem, pamiętam ojca, opowiadającego mi, jakie przerażenie owdądnęło wszystkimi w Kolmarze, gdy zaczęto dzwonić na trwogę po klęsce pod Woerth. Będąc dzieckiem odczuwałem już wrażenie, że cierpię za Francją.

Gdy miałem lat pięć, zaczęto posyłać mię do pewnej osoby, która zajmuje się pozornie pilnowaniem dzieci, kształciła je w rzeczywistości w ortografii francuskiej. Nie miała do tego prawa. Zadenuncyowano ją. Widzę ją jeszcze płaczącą na myśl, że nie będzie mogła zarabiać nadal na chleb.

Prawo nakazuje nam wstąpienie do szkoły rządowej w 6-ym roku życia. Ja uczęszczałem do miejscowego gimnazjum, lecz wraz z pięcioma z mych towarzyszy brałem lekcye od dawnego profesora liceum francuskiego. Pewnego dnia zastukano do drzwi. Nasz biedny nauczyciel nakazał nam pochować książki, kajety, pióra i otworzył wówczas dopiero stołu pięciu małych uczniów o palcach zawalanych atramentem? Profesor zapłakał jak płakała przedtem nauczycielka.

Rząd czynił w Alzacji gorliwe poszukiwania, celem odkrycia członków „Ligi patriotów”. Zaareztowano ojca jednego z mych towarzyszków. Gdy chłopiec zjawił się następnego dnia w szkole nauczyciel przyjął go potokiem obelg:

— Ah, możesz się pochwalić, że masz zacnego ojca. To zbrodnia, ażeby poddany niemiecki dopuścił się takiej zdrady wobec swej ojczyzny. Twój ojciec jest kanalią i gdyby to zależało odemnie, skazałbym go krótko i wężłowato na powieszenie.

I długo mówił jeszcze w podobny sposób, wobec nas, dzieciaków 8-mio i 9-cioletnich. Syn „kanalii” płakał grzkiem łzami, towarzyskom jego ostry żal sączył się trucizną do serca. Czy sądzisz pan, że po podobnej scenie dziecko może pozostać takim zupełnie jak było poprzednio?

My, Alzaczycy, lubimy krążyć po drogach. Pewnego dnia (nie miałem jeszcze wówczas lat 10-ciu) po podwieczorku spożytym w górach z przyjaciółmi, zapisaliśmy nasze nazwiska w rejestrze hotelowym, kreśląc jednocześnie kilka słów niewinnej zupełnie treści: „Wszedłszy na górę w bardzo piękna pogodę, ujrzeliśmy stąd szczyty Wogezów”. A tuż, przy tem: „Niech żyje Francya!” Jakiś Niemiec zadenuncyował nas przed dyrektorem gimnazjum. Wynikła z tego poważna zupełnie sprawa, która przysporzyła memu ojcu wiele przykrości.

Innym razem udałem się z starszymi nieco odemnie chłopcami do Francji, do Gerardmer. Kupiliśmy wstążek i kokard trójkolorowych. Wracając przyczepiliśmy je do kapeluszy i szliśmy przez nasz las alzacki, śpiewając Marsylianę, gdy spotkaliśmy gromadkę Niemców, zamieszkujących Kolmar. Nazajutrz dyrektor gimnazjum osypał nas obelgami i ukarał surowo. Oskarżycieli naszych spotykałem codziennie niemal na ulicy; ludzie ci cieszyli się ogólnem poważaniem.

Cierpię, przywołując na pamięć te wspomnienia lat dziecięcych. My, młode szczeny Alzacji,

wzrastamy w atmosferze spiskowania, niepokoju, nienawiści, a zarazem w przeświadczeniu o wyższości naszej rasy. To tłómaczy naszą miłość dla Francji. Jest to miłość z przeszkodami, piękna tajemnica, z którą się kryć musimy i ciągną nasza podnieta.

W 17-ym roku życia rozpocząłem studia medyczne w Strasburgu. Młody prowincjał francuski, zapisujący się do wszechnicy, najbliższej jego zakątka, musi doznawać podobnych jak ja wówczas wrażeń. Nie było mi danem poznać atmosfery intelektualnej Paryża, ale kultura, przychodząca z tamtej strony Renu, ośliznęła się po mnie, nie utrwalając się w mym umyśle. Studenci niemieccy byli mi wysoce [niesympatyczni. Odpychaliśmy się wzajem instynktownie.

Najcięższem, najboleśniejsem przejściem było odbycie służby wojskowej niemieckiej.

Uległem bez dyskusji woli ojca, żądającego, bym został w kraju rodzinnym pod dachem domowym. Urobiłem sobie był przekonania wewnętrzne, nie miałem jednak dotąd sposobności, przejawiać ich, ani też ich się wyrzec, lub jeszcze szukać sposobu pogodzenia mej treści duchowej francuskiej z realnymi faktami istnienia, stworzonymi przez panowanie Niemców nad naszą ziemią. Moje życie do chwili wstąpienia do wojska, było prologiem; w jesieni 1902 r., w kilka dni po naszym spotkaniu w Marsalu, rozpoczął się jego dramat.

Ehrmann zamilkł. Zrozumiałem później, że drecząca go myśl pokazania się przedemną pod pikielhaubą. Ale postanowiłem nalegać:

— Proszę pana bardzo, pomyśl, że nie powinniśmy kępować się względami konwencyonalnemi. Pozwól mi, jako Francuzowi, zadawać ci pytania i poznać dzięki tobie fakty, które nauczą mię prawdy o Alzacji. Mówisz mi pan, że twoja sytuacja nie przedstawia nic wyjątkowego. Sądzę, że tak jest rzeczywiście i dlatego właśnie interesuje mię

tak bardzo to, co możesz mi powiedzieć. Jesteś jednym z kamieni, z których powstały Wogezy.

I uderzyłem laską w twardą skalę Ś-tej Odylii.

Ehrmann nie dał się jednak przekonać. Zobaczyłem ze zdumieniem, że pełny jest skrupułów i wprost nieśmiały. Odbywanie powinności wojskowej w szeregach pruskich, dręczyło go wobec Francuza jak wyrzut sumienia. Obawiał się, bym nie przypuszczał, że nie cierpiał dość nad tem.

— Nie wiesz pan•może,— rzekł— że wolontariat niemiecki o wiele jest lżejszy od francuskiego. Jako student medycyny, pełniłem służbę tylko przez sześć miesięcy (o ile oczywiście, nie byłbym skazany w ciągu tego czasu na jakąś karę). Podczas tego czasu wolno mi było mieć apartament na mieście i przychodzić do koszar tylko na instrukcję wojskową, tak mniej więcej jak student idzie na swe wykłady. Widziano we mnie i mych towarzyszach, przyszłych oficerów pruskich... Oficer pruski! Wyrzekłem się w głębi duszy tego przywileju. Wolontaryusz alzacki przyjmuje ze służby wojskowej niemieckiej tylko to, czego uniknąć nie może. Nosi w sobie stały protest i ten opór wewnętrzny sprawia, że ta służba, dość znośna w rezultacie, staje się dlań gnębiącym a często poniżającym przy-musem. Takim jest przynajmniej moje zdanie, gdyż twarda dusza alzacka nagina się z trudem do niezbędnej w takich razach hypokryzji. Straszną jest męką dla ducha rdzennie francuskiego skupiać swe wysiłki na przyspasabianie się do walki z „odwiecznym wrogiem”.

Zdobyłem wreszcie zaufanie Ehrmanna, który zgodził się przedłużyć swój pobyt na Ś-tej Odylii i dał mi poznać dokładnie w kilku prowadzonych ze mną rozmowach, stan duszy Alzaczyka, pełniącego służbę wojenną w niemieckich szeregach.

IX.

Pierwszy dzień pobytu w koszarach.

4-go października 1902 roku, około godziny 7-ej zrana, dwudziestu mniej więcej młodych ludzi w ubraniu cywilnem, zebrało się na podwórzu starych koszar artylerji na placu Austerlitz. Byłem w tej grupie jedynym Alzaczykiem.

Niemcy zbliżali się do siebie wzajemnie i z lekkim ukłonem powtarzali sakramentalne:

„Mam zaszczyt przedstawić się panu”. Zmuszony byłem iść za ich przykładem.

Wraz z trzema innymi naznaczono mię do drugiej baterji. Jakiś podoficer kazał nam iść za sobą. Zapłaciliśmy należną sumę za wypożyczenie konia i karmienie go przez sześć miesięcy. W magazynie wojskowym nabyliśmy hełmy, płaszcze, buty, wszystkie przynależności kostiumu codziennego i galowego. Stosując się do przyjętego ogólnie zwyczaju, dałem część nabytych rzeczy, a mianowicie dwie czapki, dwie szable i płaszcz podoficero-wi kazamaty dla podzielenia się tem z innymi jego kolegami z mej baterji. Zaprowadzono mię do kazamaty, w której sypiał mój ordynans, a która sta-

wała się zarazem moja; na wspólny użytek z mym służącym otrzymałem niewielką szafę z białego drzewa. Pokazano mi mego konia i żołnierza, który miał się nim zajmować.

Wszędzie wyczekiwać musiałem długo na wilgoci, co zmęczyło mnie niezmiernie, zwłaszcza, że byłem w stanie wysokiego podrażnienia nerwowego.

Nie mogłem zdecydować się na przyłączenie się do mych trzech towarzyszków, którzy byli zdania, że należałoby napić się czegoś z podoficerami.

O 11-ej jeden z wolontaryuszów zbliżył się do mnie:

— Idziemy napić się piwa, a następnie zjemy razem śniadanie.

Wymówiłem się od pójścia z nimi. Wyszli razem i wyglądali na ludzi już ze sobą zbliżonych. Ja powróciłem do mego pokoju. Zdawało mi się, że jestem samotną wyspą cierpienia na bezbrzeżnym oceanie brutalnej obojętności. Gdybym odbywał służbę wojskową we Francji mógłbym mieć towarzyszków zazdrosnych, podejrzliwych, nieprzyjemnych, podoficerów twardych i szorstkich, ale znalazłbym może w sobie samym dobry humor i jakiś wyższy nastrój i zapał, któryby obrócił w niwecz uprzedzenia innych i moje własne. Byłbym tak zdecydowanie żołnierzem dobrej woli i towarzyszem, pragnącym zjednać sobie serca, że wprędce zadzierzgnęłyby się między mną i mem otoczeniem węzły bratniej przyjaźni. Lub jeszcze wytłómaczyłbym sobie, że służę własnemu krajowi, że pracuję wraz z innymi nad wzmoczeniem potęgi Francji i szukałbym we wszystkim przyczynku do jej wielkości.

Takie rozmyślenia zastąpiły mi śniadanie.

O g. 2-ej popołudniu wolontaryusze różnych baterii zgromadzeni byli na wielkiem podwórzu koszarowem, gdy ukazał się po raz pierwszy nasz lejtnant.

Był to młody oficer, ledwie że pełnoletni, różowy i puciołowaty, o włosach krótko ostrzyżonych,

bardzo sztywny i bardzo w swój mundur obciśnięty. Przechadzał się, pokręcając jasny wąsik, którego końce zadarte pod sam nos, nadawały mu zabawny wyraz. Od ciemnego munduru odbijały wyraźnie oslepiając białe rękawiczki, mankiety i wysoki kołnierz. Widać było, że z upodobaniem popisuje się przed nami swą elegancją. Moi towarzysze podziwiali go szczerze; wszak służyli wspólnym ideałem.

Wszyscy ci ludzie należeli do jednego środowiska społecznego. Zdarzało się, że oficer bywał w rodzinach wolontaryuszów, spotykał ich w towarzystwie, tańczył z ich siostrami, mógł starać się o ich rękę. Nasz lejtnant chciał więc zachować się wobec nas jak człowiek światowy. Jednocześnie jednak przybierał ton stanowczy, chcąc zostać w zgodzie z tradycją i zwyczajem i nadać sobie pewną powagę wobec tych z nas, którzy byli odeń starszymi. Liczył też zapewne, że uda mu się przeciwdziałać w taki sposób ukrytemu lekceważeniu, jakie ludzie nauki żywią dla wojskowych.

Zdanie, którem nas przywitał, było bardzo suche:

— Poruczono mi zająć się wojskową instrukcją panów. Liczę, że będziemy ze sobą w dobrych stosunkach. Rozpoczniemy naukę od salutowania.

Oficerowi towarzyszył olbrzymi wachmistrz z niezmiernie niebieskimi oczyma i bardzo wypukłą klatką piersiową, co mu nie przeszkadzało wyglądać na garbatego, a to ze względu na łopatki, które sterczały kantem z szerokich pleców. Ten kościsty wielkolud z długim krzaczastym wąsem, robił wrażenie dość zabawne, tak niedołążnie wprawiał w ruch swe potężne ręce i nogi. Przez pięć lat dosługiwał się był swego stopnia. Ciekawy byłem, jaki ton przyjmie wobec niższych dziś odeń stopniem bogatych i wykształconych wolontaryuszów, którzy w tak prędkim czasie uzyskają rangę oficerską? Czuł żal do tych szczęśliwców, było to widocznem; jednocześnie zaś onieśmielała go obe-

ność lejtnanta, który przypatrywał się naszym ćwiczeniom, przechadzając się z pyszną miną. Dwa te powody sprawiały, że wachmistrz przesadny był w gorliwości i twardy w obejściu.

Nauczono nas salutować, następnie maszerować i wykonywać różne ruchy, w końcu wprawialiśmy się przez godzinę w konnej jeździe. Krew napłynęła mi do głowy, a zarazem wstrząsały mnie dreszcze. Nie jadłszy nic od rana, byłem mocno osłabiony, lecz pomimo przykrego stanu fizycznego i równie przykrego, dziwnego, nieokreślonego niepokoju, starałem się panować nad sobą, nie uledez rozdrażnieniu i wykonywać uważnie te wszystkie hece kuglarskie, które kazano nam powtarzać nieskończoną ilość razy. W sercu mem szalała burza. Jestem gwałtowny z natury, to też chwilami przychodziła mi myśl wyrwania się z tego błędnego koła. Czy rzeczywiście dobrze zrobiłem, pozostając w Alzacji? Czy zdolny będę dźwigać to jarzmo? Pragnąłem gorąco mózgi zastanowić się nad tą niedolą. Przeszkadzał mi w tem oficer, sprawca mych katuszy. Co chwila słyszałem głos jego:

— Wolontaryuszu Ehrmann, nie zapominaj pan, że już nie jesteś cywilnym i staraj się zwracać uwagę na to, co ci pokazuję.

Widziałem, że ta nieprzyjemna postać napawa się swem stanowiskiem pełnoprawnego pana naszych przeznaczeń i że przejaw operu z mej strony wyglądać tylko może na bezsilne szamotanie się zbyt słabej istoty. Długie ćwiczenia, do których nie byłem przywykły i przeciw którym buntowała się moja dusza, wprawiały mnie w stan tak smutny, że przez chwilę miałem już zamiar zadeklarowania się chorym. Ale wytrzymałem do końca i poszedłem wraz z innymi do stajni, gdzie ordynarność żołnierzy, śwąd od lamp dymiących i ciężki zaduch w powietrzu, doprowadziły me rozdrażnienie do najwyższych granic.

Okolo godz. 9-ej wieczorem, wyczerpany do ostatka ze zmęczenia, a może i głodu, opuściłem koszary i udałem się do mego mieszkania.

Zdjąłem, zerwałem wprost z siebie mundur i włożyłem cywilne ubranie.

Obecne me zajęcie przejmowało mnie takim wstrętem, że zacząłem myśleć o panu Le Sourd i przyznałem mu wewnętrznie rację. Zdawało mi się, że nie umiałem być rzeczywiście pojąć, na czym polega prawdziwa odwaga i męskość. Dezercya wydała mi się obowiązkiem. Zacząłem napełniać walizę bielizną i ubraniami. *Orient-express* zatrzymuje się w Strasburgu o godz. 12-ej min. 20 w nocy. W godzinę, nie ryzykując wiele, stanąlbym na granicy francuskiej w Lunéville. Wolny od wszelkiego przymusu, będę tam mógł odetchnąć swobodnie i rozkoszować się pięknem świata, odzyskawszy osobistą godność i prawdziwą ojczyznę. Ta perspektywa napawała mnie większą radością, niż wyzdrowienie z ciężkiej choroby. Byłem jak człowiek tonący, który wydobył się z matni, oplatających go traw zdradzieckich.

Pierwszym mym obowiązkiem byłoby doniesienie o tem, co czynię, ojcu. Mając przed sobą trzy godziny wolnego czasu, postanowiłem napisać niezwłocznie list i wrzucić go do skrzynki pocztowej na kolei.

Prawdziwa gorączka dyktowała mi słowa i zdania; nie trudno przyszło mi wyrazić z całą siłą obrzydzenie, którem przejmowała mnie myśl o tym dniu, spędzonym w koszarach. Lecz przypomniałem sobie, że ani ojciec, ani ja nie przypuszczaliśmy nigdy, by pobyt w tych koszarach mógł mi być miły, a jednak uważaliśmy go z różnych względów za niezbędną. Zrozumiałem, że nie wystarczy mi powiedzieć: „Spędzę sześć okropnych miesięcy“; trzeba będzie jeszcze dowieść, że obaj widzieliśmy w przesadnie złem świetle ujemne strony dezercyi.

Ojciec mój nie uznaje w życiu kaprysu. Ubolewał nad tem, że syn jego musi być żołnierzem niemieckim, lecz nie wybaczyłby mi nigdy opuszczenia Alzacyi w przystępie zniechęcenia i obrócenia w niwecz jego projektów co do mej przyszłości.

Widziałem nieraz rodzinę alzackie, udające się do Belfortu, Nancy lub Bazylei. — Dokąd jedziecie? — pytano ich. „Zobaczyć się z synami“ — odpowiadali — „którzy są z tamtej strony granicy“. Przez dwa, trzy, pięć lat odbywają wiernie tę pielgrzymkę, potem czas zaciera te wspomnienia; ojcowie i dzieci stają się dla siebie obcy.

Fakt to niezaprzeczony: gdy o godzinie 12-ej min. 20 wsiądę do Orient.Expressu, zerwę nazawsze łączność z Alzacyą i całą rodziną. Czy mój ojciec będzie mi pomagał we Francyi? Nie liczyłem na to... Musiałby przedewszystkiem zapłacić wysoką karę... Ale ja mogę przyjąć miejsce lekarza okrętowego. W duszy rość mi się poczęły dawne awanturnicze marzenia. Lecz wnet napotkałem nowe przeszkody. Musiałbym odbyć ponownie we Francyi całkowite studia medyczne, zdawać nawet egzamin dojrzałości; tak chce prawo francuskie.

Żaden wysiłek nie przestrasza mnie; lubię nawet instynktownie coś ważyć, ryzykować, lecz jestem z rasy ludzi budujących; czuję wstręt nieprzeparty do niszczenia czegokolwiek. Pomyślałem, że oparłem już był gmach mego życia na trwałych podwalinach i że za chwilę zniszczę ten dorobek przeszłości. Poddając się osobistemu cierpieniu zburzę pracę pokoleń, rodzinę.

Przez cały ten dzień nurtowała mię wściekłość fizyczna; teraz przyszła kolej na głęboką rozpacz moralną.

I nagle wzrok mój padł przypadkiem na list, który przyniesiono widocznie podczas mej nieobecności. Otworzyłem go bez najmniejszej ciekawości. Był od pani d'Aoury. Pamiętam każde jego

słowo, gdyż nieraz powtarzałem 'go sobie w myśli w ciągu tych sześciu miesięcy.

„Przesyłam panu — pisała, — wieści o pańskim przeciwniku. Jest już zdrow zupełnie. Wiem, że dziś właśnie wstępuje pan do regimentu i pragnę zapewnić pana o naszej sympatii w tej godzinie próby, z której wyjdzie pan niezawodnie zwycięzko“.

Tylko ten, kto pojął bezmiar mej męki wewnętrznej, może zrozumieć wrażenie, jakie list ten wywarł na mnie. Nigdy nie będziesz pan wiedział, co znaczy dla więźnia, oddanego w niewolę Niemcom, słowo współczucia, rzucone mu przez Francję.

„Pragnę zapewnić pana o naszej sympatii w godzinie próby, z której wyjdzie pan z pewnością zwycięzko“. To zdanie tak proste i tak jasne poruszyło mię do głębi duszy i skruszyło mą dumę.

— Czy pani d'Aoury powinszuje mi zmiany projektów, jeśli przejadę granicę i zgłoszę się do niej w Paryżu? pytałem sam siebie. Być może, lecz powie mi zarazem: „Przekonał się pan, że brat mój miał rację, ganiąc panu pozostawanie w Alzacyi. Uczynił to jedynie w zbyt ostrej formie. Dziś przychyliła się pan do jego opinii“. Ja nie mógłbym nie odpowiedzieć jej na te słowa, które dotknęłyby mię do żywego. Byłbym jak żak wobec tej Paryżanki.

Nadeszła godzina odejścia pociągu; byłem wciąż niezdecydowany. Około 1-ej po północy, na pół ubrany, nie rozpakowując walizy, usnąłem w fotelu ciężkim snem rozpaczy.

X.

Moje dni w koszarach.

O 4-tej zrana obudziło mnie bicie pięściami we drzwi.

— Panie wolontaryuszu, już pora wstawać!

Obudziłem się przemarznięty, ale zgorączkowany jeszcze po wrażeniach dnia wczorajszego.

— Proszę wejść—zawołałem.

Mój ordynans ukazał się we drzwiach. Na jego zwierzęcej twarzy malował się wyraz bezgranicznego poszanowania.

Na myśl, że ta bezduszna istota jest jednym z narzędzi mego ciemnienia — doznałem jakiegoś wzruszenia i z większym poddaniem gotowałem się dźwigać jarzmo nieubłaganej konieczności. Dałem kieliszek kirszu temu pokornemu zwycięzcy.

Nocą podążyliśmy do koszar.

Żołnierz opowiadał mi w drodze szeroko o służbie wojskowej. Różne drobne szczegóły, które odkrył przedemną, otworzyły mi oczy na rozległe horyzonty nowych utrapień.

Po przez ciemne korytarze szedłem za nim, macając ściany rękoma, aż do kazamaty, zamknię-

tej przez noc całą, gdzie pobyt 25-ciu niechlujnych postaci stwarzał zaduch straszliwy. Od drzwi aż do mej szafy podłoga zasypana była różnemi sprzętami i butami; gdy się potknąłem, ze wszystkich stron rozległ się śmiech brutalny.

Słyszac ordynarne żarty żołdactwa doznawałem wrażenia, jak gdybym był zakładnikiem Francji, rzuconym ze związanemi rękoma i nogami pomiędzy wrogie żywioły.

Zmieniłem mundur na kostyum koszarowy, wdziałem grube, ciężkie buty i opatrywałem mego konia aż do godziny 7-ej zrana. Jest to chwila śniadania. Rzuciłem się do kantyny. Nie jadłem nic w ciągu całej doby.

Nie mam bynajmniej zamiaru kreslić panu barwnych opisów, ani udzielać technicznych szczegółów, co do organizacji niemieckiej armii.

Zależy panu, wszak prawda, na poznaniu kolejnych stanów duszy Alzateczyka, skazanego na niemieckie koszary. Chcesz pan wiedzieć co czyniło mi najwięcej ciężką mą niewolę. Opowiem więc tylko pokrótce na czym polegały nasze monotonne zajęcia dnia każdego.

Po śniadaniu ćwiczyliśmy się przez godzinę w konnej jeździe. O godzinie 8½ nowa zmiana kostyumu, o 9-ej zaczęła się mustra, która trwała do godz. 11½.

W południe apel, następnie przywdziewaliśmy napowrót mundury.

Wolontaryusze każdej baterii jadają zazwyczaj razem.

Udałem się więc wraz z mymi trzema towarzyszami do bliskiej od koszar podrzędnej restauracji „Pod miastem Bazyleą”. Od samej chwili przebudzenia liczne zajęcia, następujące po sobie pośpiesznie i rozpraszające uwagę, oddalały odemnie myśl o dezercji. W restauracji musiałem patrzeć na mych towarzyszków słuchać ich rozmowy. Z jak dziwnej dali dochodziły mnie ich głosy!

O wpół do 2-ej powróciliśmy do kazamatów, by wdziać nazad ubranie do mustry. W kwadrans później wolontariusze wszystkich baterii zbrali się na podwórzu. Na parę minut przed 2-gą zjawił się podoficer, który uszykował nas w szeregi, o 2-ej punktualnie nadszedł instruktor. Praca z nim trwała przez dwie godziny, z których pierwsza poświęcona była ćwiczeniom gimnastycznym. O godzinie 4-tej nastąpiła lekcja teorii wojskowej. Około 6-tej zaczęło się opatrywanie konia, które skończyło się pomiędzy 8 i 9-tą.

Przez cały ten dzień byłem jak maszyna i nie słyszałem wprost nieraz komendy. Wówczas rozbrzmiewał twardy głos podoficera: — „Hejże tam panie ochotniku, proszę o nieco uwagi”. — Powróciwszy wieczorem do domu, przetrawiałem znowu moje plany dezercji i późno dopiero usnąłem, pełen rozpaczy.

Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze cierpieć będę podobną mękę, jak podczas tych pierwszych dni pobytu w koszarach, lecz, choćby czekały mnie najcięższe przejścia, nie zaznam chyba nigdy różnego przygnębienia. Pomijając już wstręt, jakim mnie przejmowało odbywanie służby wojskowej pod sztandarem niemieckim, czułem się niezdolny zupełnie do obcowania z mymi towarzyszami. Byłem w stanie ogólnego rozstroju i pełnego nienawiści znękania, a jednocześnie pełniłem posłusznie moje obowiązki żołnierza, ulegając nieublaganej konieczności.

XI.

Przezwyciążam się.

Gdy cofam się dziś myślą w te dni ponure, skłonny jestem uznać, iż byłem bezmiernie wrażliwy i dawałem zbyt folę podbudzonej wyobraźni. Być może, że myliłem się poniekąd, widząc wszędzie zamiar poskromienia Alzateczyka. Co prawda nie łatwo było poznać głębi myśli naszych szefów.

Na trzeci dzień po mojem wstąpieniu do pułku dwudziestu ochotników, zebranych na olbrzymim podwórzu koszar, ćwiczyło się w salutowaniu pod czujnym okiem wachmistrza. Jeden za drugim przesuwaaliśmy się przed oficerem. Potrzykroć zatrzymał mnie:

— W szczególny sposób machasz pan ramieniem, gdy opuszczasz rękę. To są jakieś ruchy cyrkowe.

W sposobie salutowania Niemców i Francuzów istnieją dość subtelne różnice, wpływające z odmiennego temperamentu ras obojga: Niemiec opuszcza ramię sztywno, Francuz wręcz przeciwnie odrzuca rękę od kępi z nerwową żywością. Mój

gest raził wobec twardych ruchów mych towarzyszków.

Muszę zresztą zaznaczyć, że nasza zwinność alzacka odbija wogóle bardzo wyraźnie od sztywności pruskiej i przejawia się w tysiącnych szczegółach: w naszym chodzie niezrównanie więcej elastycznym i rytmicznym, w sposobie choćby noszenia czapki nieco na ucho, jak francuskiego kepi, we wszystkich poruszeniach żwawszych i zręczniejszych. Oficerowie niemieccy znają się na tem doskonale. Gdy widzą przechodzącego ulicą któregoś z naszych powiedzą napewno: — „To niezawodnie wolontaryusz alzacki”. — W wojsku francuskim z łatwością osiągamy elegancję francuskiego żołnierza. W szeregach pruskich łamiemy brutalnie harmonię mechanicznego wyglądu, który jest ideałem, przekazanym przez tradycję; nasza swoboda ruchów razi jak zuchwała, niemal bezczelna niezależność.

Nasz młody lejtnant nie spuszczał ze mnie oczu. Upłynęło tak pół godziny. Nagle zawołał:

— Wolontaryuszu Ehrmann.

Zbliżyłem się, biegnąc klusem.

— Cofnij się pan o trzy kroki.

Cofam się i oczekuję, opuściwszy ręce wzdłuż ciała.

— Gdzie się pan urodziłeś?

— W Logelbach, niedaleko od Kolmaru, panie lejtnancie.

— Czem zajmują się pańscy rodzice?

— Mój ojciec jest przemysłowcem, panie lejtnancie.

Z ust wyrwało mu się krótkie „a”, które miało oznaczać: — Teraz już rozumiem! — Wiadomem jest bowiem ogólnie, że sfery przemysłowe Alzacy przedstawiają najwięcej patryotyczny jej pierwiastek.

— Gdzie pan odbywałes studia?

— W Strasburgu, panie lejtnancie.

— Czy masz pan krewnych w armii?

— Kilku, panie lejtnancie.

Na twarzy jego odbiło się zadowolenie.

— Gdzież służą?

— Jeden, panie lejtnancie, jest kapitanem w St-Dié, drugi lejtnantem w Epinalu, a trzeci lejtnantem kawaleryi w Lunéville'u.

Spojrzał na mnie badawczo. Wytrzymałem wzrok jego spokojnie.

— To wszystko o co miałem pana zapytać, — rzekł wreszcie.

Wracałem już do szeregu, gdy wykrzyknął:

— Stań pan w pozycji. Zrób jeszcze raz ten półobrót.

Musiałem powtórzyć jeden i ten sam ruch sześć czy siedem razy zrzędu. Oficerek kazał mi powracać na miejsce i cofał mnie znów z drogi. Widać było, że drażni się ze mną z prawdziwym upodobaniem.

Odtąd za najmniejszy popełniony przeze mnie błąd zmuszał mnie do powtarzania do nieukończoności jakiegoś ćwiczenia lub gestu.

Czy chciał poskromić Alzateczyka? Czy też, będąc młodszym odemnie i podejrzewając, że pozwoliłem sobie wobec niego na ironię, chciał zaznaczyć wyższość, jaką nadawał mu nademną stopień. Zdało mi się, że kierowały nim w równym względzie obie pobudki.

Pod pretekstem, że uczy mnie sposobu zdawania raportu z nakazanej przez szefa czynności, popyślał mnie po 4 i 5 razy podczas mustry do stajni pytać się masztalerza o godzinę. Musiałem biedz galopem i wracać w takiż sposób. W stajni przyjmowano mnie drwinami. Powróciwszy, zatrzymywałem się o trzy kroki od lejtnanta i wyciągnawszy się jak struna, recytowałem:

— Mam honor oznajmić posłusznie panu lejtnantowi, że według stajennego jest obecnie godzina 3-ia minut 10.

Musiałem stać, czekając, póki nie skinął ręką

ką, pozwalając mi odejść. W kwadrans później rozpoczęła się napowrót taż sama historia i tak aż do końca.

Czyżby postanowiono zrobić z Alzatzczyka pułkowego błazna?

Ale zarówno, jak nie zamierzam wtajemniczać pana we wszystkie szczegóły regulaminu, nie chcę również budzić w panu współczucia opisem cierpień młodego Alzatzczyka w wojsku niemieckim. Zapuszczmy więc zasłonę na całą tę nędzę. Chcę tylko opowiedzieć panu w jaki sposób nadmierne podrażnienie mej wrażliwości i miłości własnej doprowadziło mnie ostatecznie do ujęcia mych czynów w karby dyscypliny moralnej.

Nim upłynął tydzień, poznałem dobrze wszystkie utrapienia, z jakich miało się składać odtąd me istnienie. Nie mogło mnie już spotkać nic nieprzewidzianego. Życie moje było w dalszym ciągu okropne, lecz nie błądziłem już chociaż w ciemnościach. Wołę brutalne zapasy z przeciwnikiem nad zdradzieckie podchody w noc czarną, w gęstwie leśnej. Ujrzałem jasno mój cel: nie powinienem był pozwolić, aby w niemieckich koszarach drwiono z Alzatzczyka i Francuza.

Takie to powziąłem ostatecznie postanowienie. Czułem, że gdybym uległ pokusie dezercyi, pogardzałbym sobą w głębi duszy za ten krok, przez całe życie. Pozostałby on w mej przeszłości ciemną plamą, od której zawsze odwracałbym oczy. Pierwszą trwałą podstawą, na której oparłem mą decyzję, był list pani d'Aoury. Co pomyślałaby o mnie ta kobieta, która stanęła po mej stronie przeciw swemu bratu, gdybym zaprzeczył teraz samemu sobie. Zachowanie się lejtnanta i drwiny żołdactwa umocniły mnie w mem postanowieniu.

Stawałem do pojedynku z niemieckimi koszarami. Mogłem być, jak tyłu innych, nie przyjąc go, lecz gdy raz już zmierzyłem się z przeciwnikiem, nie wolno mi się było cofać.

— Zostanę — powiedziałem sobie.—Będzie to o wiele przykrzejszem, niż sądziłem, bolesnem nawet. Zniosę to cierpienie. Cały bunt, całą nienawiść, którą w sobie tłumić będę, zahartuje mi duszę, umocni mnie wewnętrznie. Ponieważ ten oficer ma nademną wszystkie prawa, nawet prawo bezkarnego poniżania mej godności—widzę przed sobą jedną tylko drogę: stanę się doskonałym żołnierzem i zmuszę go do uszanowania we mnie tej zalety. Jestem jedynym Alzatzczykiem wpośród tych Niemców; będzie chciał z pewnością stawiać mi ich za przykład. Powinienem starać się, by działa się odwrotnie i zmusić go do uznania wyższości Alzatzczyka.

Powiesz mi pan, że są to wszystko rzeczy małej wagi. Wiem o tem! Wolałbym niewątpliwie wejść zwycięsko do Berlina jak mój dziad, żołnierz Wielkiej Armii Napoleona. Lecz czy wolno wymagać od ludzi czegoś więcej, jak walczenia w sposób najskuteczniejszy na gruncie, na którym postawiły ich losy?

Przez tydzień byłem i czułem się sam kozłem ofiarnym. Lecz wprędce zrozumiałem, jak niewłaściwą była ta rezygnacya i zdecydowałem, że powinienem stać się przedewszystkiem żołnierzem bez zarzutu.

Z opowieści mej mógłbyś pan wywnioskować, że zakreśliłem sobie taki plan postępowania rozumowo; że obmyślałem go w swym pokoju przez długie godziny, wsparłszy głowę na ręce. W rzeczywistości stało się inaczej: wszedłem na tę drogę niemal odruchowo, by uniknąć codziennych przykrości. Kierowały mną okoliczności. Z zewnątrz i zewnątrz spotykałem zapory i przeszkody. Podtrzymywała mnie w tem przejściu ciągła egzaltacya wewnętrzna.

XII.

Pojedynek się rozpoczyna.

Niemiecki żołnierz wygląda zawsze poniekąd na obitego psa. Nawet wolontaryusze przybierali pokorną minę; każdy szczegół ich zachowania mówił oficerowi: — „Jesteś naszym zwierzchnikiem“. — Uprzedzali wprost rozkazy.

Nie wiem czy lejtnant wyczytał w mym wzroku pewną niezależność duchową. Czy też nudził się poprostu podczas długich godzin mustry i ćwiczeń? Z tego czy innego powodu przywoływał mię codzień po krótkiej, najwyżej dziesięć minut trwającej przechadzce po podwórzu koszar, podczas której wyglądał jak młody napuszony kogut.

Przybiegałem wnet przed jego oblicze.

— Mówiłeś mi pan, że masz krewnych we francuskim wojsku. Czy utrzymujesz z nimi stosunki?

— Bardzo bliskie, panie lejtnancie.

— Czy jeździsz pan czasem do Francji?

— Dość często, panie lejtnancie.

— Znajdujesz więc pan przyjemność w tych wycieczkach?

— Tak, panie lejtnancie.

Mój szef nie był jednak bynajmniej groźnym ludożercą, pochłaniającym z szczególnem upodobaniem Alzatzczyków, tylko najpospolitszym oficerkiem z prowincji zarenskich, którego słowa moje wprawiły w osłupienie, gdyż nie wyobrażał sobie, by mógł istnieć podobny mnie żołnierz niemiecki.

Nazajutrz interpelował mię znowu:

— W dniu, gdy wybuchnie wojna pomiędzy Francją i Prusami, znajdziesz się pan w niezwykle przykrych sytuacyi. Co uczynisz, gdy ci przyjdzie walczyć przeciw armii, w której szeregach masz członków twej rodziny?

Regulamin nakazuje wysłuchiwać z niewzruszonym spokojem wszelkich uwag zwierzchniej władzy. Żaden gest nie jest dozwolony, lecz pozostaje mowa oczu. Moje mówiły obecnie oficerowie. — „Czy sądzisz, że pozostanę tu, jeśli przyjdzie do wojny z Francją?“ Jednocześnie rzekłem tonem jaknajwięcej spokojnym i pewnym:

— Jestem lekarzem, panie lejtnancie.

— To prawda — odparł, odwracając się ode mnie.

Od tego dnia zaczął krytykować we mnie głównie Alzatzczyka. Pewnego dnia, gdy krążyliśmy kłusem naokoło toru, zawołalem na konia z francuska „Huecocote“. Lejtnant, stojący na środku maneżu, wykrzyknął natychmiast:

— Wolontaryuszu Ehrmann, to jest koń niemiecki; nie rozumie po francusku.

Nazajutrz podczas ćwiczeń zaczepił mię znowu:

— Podobno nadchodzą do pana do koszar listy, adresowane po francusku. Zechciej poprosić swych korespondentów o używanie na przyszłość języka niemieckiego.

— Ależ, panie lejtnancie, moi korespondenci nie znają niemieckiego.

— Niech się go nauczę, lub każą adresować swe koperty choćby samemu dyabłu.

Co rano oglądał drobiazgowo od stóp do głów, z przodu i z tyłu nas i nasze mundury, broń i wszystkie przynależności naszego ekwipunku. Nademną stał najdłużej, pomrukując często. Jego zła wola aż nazbyt była widoczną, lecz ja starałem się być wzorowym żołnierzem. Wzrok mój mówił mu wyraźnie:

— Szukaj, szukaj lejtnancie.

Przyznać jednak muszę, że był to człowiek uczciwy, dbały o swój honor żołnierski; jakkolwiek więc był do mnie uprzedzony, wstrzymywał się z nakładaniem na mnie kar, gdy nie miał ku temu żadnej racji.

Zrozumiał też może, że byłem zdecydowany zachować niezależność ducha, wypełniając jednocześnie ściśle me obowiązki. Badania swe na tym punkcie posunął do ostatecznych granic.

— Wolontaryuszu Ehrmann — rzekł mi pewnego ranka — podobno częściej pan do francuskiej tawerny, gdzie wraz ze swymi rodakami uprawiasz szowinizm francuski. Poszanowanie dla munduru nakazuje panu wstrzymywać się od podobnych manifestacji.

W dwa dni później kazał mi znów wystąpić z szeregu.

— Słyszałem — mówił — że u fryzjera rozprawiasz pan głośno po francusku. Możesz mówić w tym języku w swym rodzinnym domu, to już nas nie obchodzi. Ale w miejscu publicznym, na przykład u fryzjera, poszanowanie dla munduru wymaga, byś mówił po niemiecku.

Wątpię, by regulamin upoważniał oficerów do wglądania w nasze życie po za obrębem służby! W każdym razie obawa nieprzyjemnych zajęć wstrzymuje ich od mieszania się do tego rodzaju rzeczy. To też lejtnant irytował się, groził, ale nie karał mnie za te przewinienia po za koszarowe. Z drugiej strony, choć podejrzewał mnie o niesforność ducha, widział wyraźnie mą dobrą wolę w tysiącnych dro-

bnych szczegółach służby, na które musi być baczny wolontaryusz. Byłem dobrym żołnierzem; celowałem w konnej jeździe. Ale najwięcej wyróżniałem się od innych w parad-marszu, który jest w armii prucuskiej rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

Czy widział pan kiedy paradny marsz? Żołnierz zginać musi nogę tak, by tworzyła w kolanie kąć prosty, podczas gdy końce palców zwrócone są ku dołowi. I podnosi tę nogę wysoko, bardzo wysoko, jaknajwyżej; potem nagle opuszcza ją szybko, rzucając się jednocześnie naprzód całym ciałem! W ćwiczeniach, wymagających siły masywnej, należy przyznać gimnastykom niemieckim niezaprzeczoną nad nami przewagę, za to my górujemy nad nimi wszędzie, gdzie trzeba wykazać giętkość i zręczność. Do umiejętnego wykonania tej kategorii ruchów przeszkadza Niemcom ich masywna postać i krótki korpus. Moi towarzysze mieli lepsze odemne bicepsy, ja zaś większą do nich sprężystość. Począłem odrazu traktować paradny marsz, jako komedję, jaką jest w rzeczywistości, gdyż w swem pożądanym robieniu wszystkiego lepiej od innych, Niemcy dochodzą zawsze do przesady. Cały sekret dobrego maszerowania polega na doskonałym wygimnastykowaniu nogi w kolanie. Kto chce osiągnąć szczyt wyrafinowania — wysadza przy marszu piersi naprzód, zadziera w górę głowę, wciąga w siebie brzuch i podaje się biodrami w tył. Im do większej dochodziłem w tym kierunku przesady, tem żywsze zyskiwałem uznanie u Niemców. Swoją drogą, gdybym miał być choć jednego towarzysza Alzateczyka, śmielibyśmy się nieraz szczerze.

XIII.

Moje stosunki z żołnierzami, wolontaryuszami
i podoficerami.

Minął październik, zaczęli przybywać rekruci. Służba nasza stała się o wiele lżejszą; nie opatrywaliśmy już koni i opuszczaliśmy koszary o godzinie 6-tej. Nie odbywaliśmy też specjalnych ćwiczeń, a tylko wspólne z całą baterią. Traf sprawił, że pozostałem nadal pod rozkazami lejtnanta i podoficera, z którymi miałem do czynienia od miesiąca.

Pomagaliśmy oficerom w kształceniu nowozaciężnych w instrukcyi. Mnie osobiście poruczono pięciu rekrutów, którzy wykonywali pod mym kierunkiem różne ćwiczenia i uczyli się salutować. Jeden z nich powiesił się po paru dniach. W tydzień potem w innej bateryi zdarzyło się nowe samobójstwo. Nie sądzę, by ci nieszczęśliwi cierpieli więcej odemnie z tęsknoty za swym kątem, lecz brak im było odporności moralnej. Byli to ludzie niedołążni, niewolnicy. A może też biedacy, nie mający się czem opłacić w pułku.

Od czasu do czasu wolontaryusze muszą okupywać się wobec podoficerów, ponosząc koszta ich pijatyk. Nieraz podpisywałem papierki tej treści: „Kwit na tyle i tyle butelek piwa i kiełbasę“. Po kilkakroć przedstawiano mi fałszywe kwity; jakiś podoficer naśladował mój podpis. Nie protestowałem przeciw tym brudom, mając na głowie poważniejsze kłopoty. Lecz gdy taka rzecz zdarzyła się innym wolontaryuszom, odmówili zapłacenia rachunku. Musiałem zastosować się w postępowaniu do nich. Fałszerz, oburzony naszym zuchwalstwem, począł wnet dowodzić, że nie umiemy biegać w takt kłusem i przez długą godzinę, z szabłą w lewym ręku (istna męka w czas mroźny) musieliśmy ćwiczyć się w tej sztuce na podwórzu koszarowem.

Dostałem po tej rozrywce zapalenia gardła i musiałem wstąpić do wojskowego szpitala.

Spędziłem tam sześć dni w ogromnej sali o 60 łózkach. Najbliższym mym sąsiadem był chłop pomorski. Prowincya ta dostarcza zazwyczaj ludzi krępych i barczystych o naiwnych, szerokich twarzach. Ten jednak wzbudzał wprost politowanie swym widokiem: był chudy i zgarbiony, pierś miał wklęsłą. Po zapaleniu płucnej od czterech już miesięcy leżał w szpitalu. Jakkolwiek był bardzo wycieńczony i cierpiał przy każdym poruszeniu, lekarz wojskowy uważał go za wyleczonego. Co rano powtarzał mu:

— Od ciebie tylko zależy, byś powrócił do swoich. Nie radzę ci tylko dopominać się o żadną pensję, bo wątpię, czy zdołalibyśmy ją dla ciebie uzyskać.

Jakkolwiek Pomorzanie, który odbywał dopiero pierwszy rok służby wojskowej, uwolniony byłby od następnego, przyjmując propozycję doktora, jednak po odejściu jego płakał zwykle i biadał jak dziecko:

— Nie mogę wracać do chałupy—mówił mi—jeśli nie dadzą mi pensji, bo jestem chory, a w do-

mu ciężka bieda. Ci, którzy nie pracują, nie mają u nas prawa do posiłku, jestem więc pewny, że mimo przywiązania matki, rodzina nie przyjmie mnie, nie mogąc żywić darmożjadów. Ale nie śmiem upominać się o pensję doktorowi, bo samo jego wjeźdzenie strachem mnie już przejmuję.

Rzeczywiście doktor był wysokim mężczyzną o czarnym wąsie i twarzy ceglastej, silnie krwią nabiegłej. Gdy wpadał w gniew łyskał straszliwie białkami, jak to czynią wogóle gwałtownicy. Ludzie tego typu wyją nawet wówczas, gdy chcą mówić rzeczy przyjemne. Nie znoszę podobnych okazyw.

Za pośrednictwem głównego dozorca tej sali, podoficera, którego zdobyłem sobie hojnemi datkami, udało mi się dostać w ręce biuletyn choroby mego towarzysza. Dowiedziałem się z niego, że zapalenie płucnej było rezultatem przeziębienia się podczas pełnienia służby. Nie ulegało więc wątpliwości, że chory miał prawo do pensyi. Podoficer wytłómaczył mi z dyskretnym uśmieszkiem, że lekarz pułkowy był wiernym sługą budżetu, uciekającym się do różnych pogrózek i gromkich wybuchów głosu, by zredukować do minimum ilość pensyi, przyznawanych wszelkim inwalidom.

Zasiągnąwszy tych informacji, zacząłem pracować nad mym Pomorzanie.

— Zapewniam cię — rzekłem — że prawo jest całkowicie po twej stronie. Nie daj się więc wyprowadzić w pole.

Przez całą dobę powtarzałem mu to wytrwale.

Zdarzyło się, że nazajutrz napłynęło niespodziewanie do szpitala mnóstwo nowych chorych. Nie wiadano, jak i gdzie ich umieścić. Doktor zadeklarował głośno zaledwie wszedł do sali:

— Musimy wyprawić kilku z naszych pensyonarzy.

Przy łóżku mego sąsiada zatrzymał się dłużej

jeszcze, niż zazwyczaj i ostukawszy go na wszystkie strony, oświadczył tonem stanowczym:

— Zdrów już jesteś zupełnie, mój chłopcze; nie ma najmniejszego śladu zapalenia; bóle, których doznajesz, pochodzą wprost z przyrośnięcia płucnej do ścian klatki piersiowej podczas choroby. Przejdzie to, jak tylko znajdziesz się w domu, u matki, która cię lepiej od nas pielęgnować będzie. Jeśli nie będziesz dopominał się o pensję, pozwolimy ci wrócić do twej wioski.

Biedny olbrzym odważył się przemówić:

— Nie śmiem wracać do domu bez pensyi.

— Czyli, mówiąc inaczej, żadasz jej?

Spojrzałem nań, zachęcając go wzrokiem.

— Tak, panie doktorze—wyszeptał.

— W takim razie będę cię tu trzymał przez dwa tygodnie jeszcze, przez miesiąc, wreszcie i dłużej, jeżeli zajdzie potrzeba. Dość już mam wypłacania wam pensyi, próżniaki, darmożjady! Przesłużył w wojsku ledwie 3 miesiące, zapada na zdrowiu, rząd leczy go swym kosztem przez cztery miesiące i zwalnia od dalszej służby, a on się na to nie zgadza, bydlę jakieś. Przedewszystkiem nie wiem, czy masz prawo do tej pensyi, a w każdym razie nie zasługujesz na nią.

Gniew jego wzrastał z każdą chwilą.

— Zaczyna mię to wreszcie doprowadzać do pasyi, że przysyłają nam teraz samych zdechlaków. Zachorowują, ledwie wstąpią do regimentu i żądają potem, żeby ich utrzymywało państwo.

Chwycił żołnierza za ramiona, zaczął wytrząsać nim i krzyczeć:

— A ja ci ręczę, że nie dostaniesz pensyi. Słyszysz, nie dostaniesz.

Mój Pomorzanie zaczął zalewać się łzami. Doktor spojrzał nań z pogardą.

— Chciałbym wiedzieć, kto ci napompuwał głowę temi bzdurstwami?

Prerażony chłop zaczął szukać mię wzrokiem.

Doktor zrozumiał, że domysły jego były słuszne i że chory miał doradcę. Z krzykiem wściekłego tryumfu pocałował pięściami w łóżko.

— Czy słyszysz? Chcę wiedzieć, kto cię do tego popchnął?

Żołnierz zwrócił głowę w moją stronę.

Stałem nieruchomo u stóp łóżka w pozycji, nakazanej przez regulamin dla chorych, którzy nie eżą.

Szanowny eskulap dał teraz całkowitą folgę swej furji. Skoczył ku mnie, skrzyżowawszy ręce.

— Jakto, wolontaryusze będą teraz podbudzali żołnierzy do buntu. Do czego się pan mięszasz?

I w tym smutnym przybytku cierpienia wybuchnął potokiem obelg i wymysłów, począł ciskać się jak opętany. Z trudem zapanował nad sobą o tyle, że nie chwycił mię za gardło.

Ale tegoż wieczoru przyniesiono z intendentury papier, na mocy którego przyznana została memu protegowanemu pensya stu marek rocznie. Po podobnym skandalu nie śmiano odmawiać mu jej w dalszym ciągu. Rozstając się ze mną miał lzy w oczach.

Gdy po wyjściu ze szpitala opowiadałem to zajęcie wolontaryuszom mej baterji, wydziwił się nie mogli memu postąpieniu.

— Po co się pan opiekowałeś tem bydlęciem; (tak nazwali żołnierza) to do pana nie należało.

I dodali, że uczyniłbym lepiej, towarzysząc im częściej do „piwiarni oficerskiej.”

Co wieczór, podczas gdy ja zasiadałem samotnie za stołem, przy którym w południe spożywałem wspólnie posiłek, towarzysze moi objadali się kiełbaskami z chrzanem i zapijali piwo pod okiem swych szefów.

— Taki jest zwyczaj—tłómaczyli mi. Oficerowie patrzą nieprzychylnie na wolontaryuszów, nie uczęszczających do ich piwiarni. Pańska nieobe-

ność jest z pewnością źle interpretowaną. Szko- dzisz sobie dobrowolnie.

Argument ten nie wzruszył mię bynajmniej. Postanowiłem być wzorowym żołnierzem, lecz pod żadnym pozorem nie chciałem schlebiać władzom. Odpowiedziałem więc, że pomiędzy 6-tą i 7-mą wieczór nie pijam nigdy piwa. Ale zaczęli tak nalegać, że nie mogłem w końcu odrzucić ich zaproszenia. Poszedłem więc z nimi do piwiarni i spędziłem wieczór oplakany.

Usiedliśmy tuż przy drzwiach wchodowych. Widać było ztamtąd w głębi ostatniej trzeciej sali zakładu wielki stół, za którym obiadowali co wieczór oficerowie. Moi towarzysze przeświadczeni byli niezłomnie, że uczęszczanie do „piwiarni,” nawiedzanej przez oficerów, nadaje im pewną wyższość. Spoglądając choćby zdaleka na swych szefów, nabierali w własnych swych oczach pewnej wagi. Okupywali jednak tę przyjemność niespokojnem rozglądaniem się na wszystkie strony i rwiącą się wciąż rozmową. Wypróżniali kufle piwa i zjadali wędzoną świninę, ocierając usta papierową serwetką, rozłożoną na kolanach; zachowywali przy tem sztywność żołnierską, której pozbyliby się napewno w każdym innym zakładzie. Za wejściem każdego oficera z jakiegokolwiek bądź regimentu, zrywaliśmy się wszyscy hałaśliwie, odpychając nogą w tył krzesło i, wyciągnęci jak struny, wpijaliśmy weń wejrzenie, gdy był jeszcze o kilka od nas metrów, a następnie towarzyszyliśmy mu wzrokiem, gdy już nas minął. Oficer salutował końcem palców, kiwał zlekka głową i robił gest, oznaczający:— Możecie panowie usiąść. Minę miał przytem godną. Nasz kapitan uklonił się nieco uprzejmiej, a jakkolwiek nie rozchmurzył czoła, szybko zezwolił nam, byśmy usiedli. Nasz lejtnant przywitał nas głóśnem „Dobry wieczór” i z przyjemnem zdziwieniem skonstatował naszą obecność.

Służalność wobec wyższych rangą, arogancya

wobec niższych — oto cechy, które stale rażą nas u Niemców. A jednak wszyscy moi towarzysze pochodzili z dobrej rodziny. Muszę zresztą przedstawić ich panu bliżej, gdyż uosabiają sobą typy nader zwykle w dzisiejszych Niemczech.

Pierwszy z nich, Prusak z urodzenia, miał lat 23 i pochodził z Neu-Ruppinu w Marchii brandenburskiej.

Warto byłoby określić wyraźnie, jakie pierwiastki złożyły się na tego sztywnego i aroganckiego Prusaka, który tryumfalnie nadaje dziś ton życiu całych Niemiec społecznych. Na wielkich szarych płaszczyznach, gdzie po za nędznymi pastwiskami widać tylko stawy o uśpionych wodach i ponure sosnowe lasy, rozsiało się chłopstwo niedawno dopiero wywłaszczone. Ludzie ci, posiadający zmysł asocjacji i świadomość, iż są stadem, chowani są od lat najmłodszych w karbach dyscypliny. Instykt rozrodczy nie wytwarza u nich, podobnie jak u Francuzów skomplikowanej bardzo cnoty i takiegoż zepsucia. Pozbawieni zapałów i entuzjizmów, nie znają też upadku sił i zniechęcenia; wola ich naprężona jest stale i wytrwale w kierunku zdobycia chleba codziennego. Ci niewolnicy o ciasnym sercu, pełni hypokryzyi i poziomej zazdrości, zdolni są w sferze prostej do denuncjacji, szpiegostwa, listów anonimowych, lecz zrzadka dopuszczają się pospolitego i świadomego kłaustrstwa; chętniej uciekają się do wykretów. Przemysłowiec pruski dotrzymuje piśmiennego zobowiązania, ale bez skrupułów wyzyska na swą korzyść pominięcie czegoś w kontrakcie. Wszyscy Prusacy są pod ciągłym działaniem piwa, które zagłusza, usypia, kołysze, uspakaja gniew i namiętności, czyni ludzi dobrodusznymi i uczy zapomnienia. To też wojowniczy temperament rasy dziś się uspokoił. Treść wewnętrzna istoty nie zmienia się jednak; pozostaje ona brutalną, pozbawioną wrodzonej wytworności i przekazanej dziedzicznie kultury.

Nasz towarzysz Prusak był synem urzędnika i członkiem korporacji w mieście Bonn, gdzie studyował prawo; mimo swe wyższe już pochodzenie, nosił na całej swej postaci piętno germano-słowiańskiej barbarzy. Miał pełnić w przyszłości karierę urzędniczą, wyglądał jednak na groźnego wojaka brandenburskiego. Jadł, pił i palił za dziesięciu. Podobne żołądki trawia wszystko. Był bardzo wysoki i sztywny, szeroki w ramionach, ruchy miał twarde, głos niski, jasne włosy, zakręcone do góry jak u cesarza, włosy ostrzyżone krótko i w tył zaczesane, nos prosty, oczy niebieskie zimne, o błyskach stali, spoglądające chwilami drapieźnie, szczękę górną wystającą, policzki wklęsłe. I przy tem wszystkim dołek w brodzie; ten drobny szczegół, łagodzący fizjonomię, dziwnie się do niej nie nadawał.

Drugi z wolontaryuszów pochodził z Monachium i studyował historję. Bawarczycy różnią się we wszystkim zasadniczo od Prusaków, rasy tak nowej jeszcze i wyłącznie wojowniczej. Mój towarzysz był niski i już nieco otyły. Ze swą twarzą pełną i płaskim nosem wyglądał na apoplektyczne jakieś dziecko. Miał ciemno blond włosy z lekka się kręjące i niewielki czub nad czołem. Gdy był w mundurze starał się nadać swym pocziwym oczom wyraz surowy. W rzeczywistości służba wojskowa nudziła go i męczyła, nie zdawał jednak sobie z tego dokładnie sprawy.

Trzeci mój towarzysz był Saksończykiem. Miał przedział na środku głowy i wykosmetykowane włosy, przylegające do czoła. Suchy i nerwowy, twarz miał czerwoną i oczy nieco krwią nabiegłe, wąs czarny, krótki i gęsty. Studyował ekonomję polityczną i miał być w następstwie administratorem zakładów przemysłowych swego ojca.

Zdaje mi się, że nie nadużywam pańskiej cierpliwości, przywołując twą uwagę na te trzy typy społecznych Niemiec. W Prusaku czujesz pan siłę

cesarstwa i centrum, naokoło którego wszystko się skupia. Jest on wytworem militarystyki, który leży już w podstawach państwa brandenburgsko-pruskiego. W duszę tę wpoił był dyscyplinę przed 150 laty Fryderyk Wielki, obecnie umocniły go w niej tryumfy Wilhelma. Bawarczyk zachowuje zawsze pewną odrębność, lecz nie uświadamia sobie tego dokładnie. Co się tyczy Saksończyka, jest on imperialistą, gdyż ojciec jego dobrze jest widziany przez rząd, który faworyzuje rozwój przemysłu.

O żadnym z nich nie powiem, by był złym chłopcem, ale z żadnym nie łączyło mię nic wspólnego.

Tego właśnie wieczoru jurysta pruski opowiadał nam o wypadku dzieciobójstwa, zaszłego w dzielnicy, którą zamieszkiwał. Policja poszukiwała winnej. Mój kolega na zasadzie różnych poszlak podejrzewał o tę zbrodnię służącą swej rodziny.

— Gdy weszła wczoraj wieczorem do mnie zmusiłem ją do przyznania się do winy. Jest to dziewczyna, której nikt w o to nie posądził. Ukłękła przedemną. Rozumiecie jednak, że nie dałem się uprosić i zawiadomiłem policję dziś z samego rana.

— Ależ to niegodne! — wykrzyknąłem.

Poprosił mię, bym liczył się ze słowami. Saksończyk i Bawarczyk wmięszali się między nas, łagodząc sprawę.

— Wierz mi pan — rzekłem — że czynię wysiłki, by cię zrozumieć. Nie mogę uwierzyć, byś nie doznał uczucia wielkiego wstydu, wydając tę dziewczynę. Nic nie zmuszało cię do takiego postąpienia.

— Nic mię nie zmuszało! I pan to możesz twierdzić! Ta dziewczyna popełniła zbrodnię, a ja miałem zachować milczenie! Nie, panie. Sprawiedliwości powinno stać się zadość. Zadenuncjonowanie jej było moim obowiązkiem. Obowiązek ten spełniłem.

— Czyż nie wycierpiała już dość, żyjąc w stra-

sznej obawie wykrycia zbrodni? Napewno nie popełniłaby po raz drugi takiego występku. Teraz zaś, jeśli sędziowie nie uznają okoliczności łagodzących, czeka ją ciężka kara.

— Okoliczności łagodzące są wynalazkiem francuskim. Same te wyrazy przejmują mię wstrętem. Nie ma i nie może być okoliczności łagodzących. To sprzeciwia się zupełnie duchowi naszego prawa. Zbrodnia jest zbrodnią i prawo powinno czuwać nad jej ukaraniem.

Saksończyk i Bawarczyk nie zaprzeczyli mi. Byłem głęboko oburzony. Ten brak poczucia odcieni, który charakteryzuje Niemców, obraża i boli duszę Francuza. Dlatego też doznajemy wrażenia nieznośnego poniżenia, gdy okoliczności dają faktyczną przewagę takim ludziom, jak się to właśnie stało w Alzacji. Nie mogłem wypowiedzieć mym towarzyszącom mego wewnętrznego przekonania na tym punkcie; wybuch rozżalenia zwyciężonego zdziwił by i ich, a może i ucieszył, ale nie przekonał.

Opuściłem ich, niezadowolony w najwyższym stopniu z siebie samego, uważając, że niepotrzebnie i bezużytecznie wystąpiłem z naganą postąpienia mego kolegi. Odkrywając przed mymi towarzyszami podniosłość ducha i delikatność uczuć rasy francuskiej, powinienem był udowodnić czemś wyraźnie tę jej wyższość. Wyrzuciłem sobie, że odkryłem przed nimi na próżno oblicze Francji.

Nocy tej źle spałem. Roztrząsałem w myśli jeden za drugim wypadki ubiegłego wieczoru. Pogardzałem bezgranicznie tymi Niemcami, a jednocześnie postanowiłem umacniać w sobie i wyszlachetniać cechy, przejęte z krwi francuskiej, by pozwolić im przemówić we właściwej godzinie. Przyrzekłem sobie, że przeciwstawię opiniom mych towarzyszy „nasz” sposób odczuwania i sądzenia rzeczy tylko wtedy, gdy pomogę im, czyniąc to, odrzucić na chwilę ciężki ucisk pruski i odetchnąć swo-

bodniej. Zdawało mi się, że takie momenty, gdzie pierś dyszy szeroko, mogłyby zrodzić w Bawarczyku i Saksończyku pragnienie wyrwania się z przemocy duchowej Niemiec.

Przybwszy nazajutrz zrana do stajni, zastałem tam leżących na słomie i uśpionych głęboko trzech pijanych podoficerów wraz z dwiema potężnych rozmiarów babami.

Pomiędzy podoficerami znajdował się ten, który sfałszował był mój podpis i dzięki któremu przeziębilem się i dostałem do szpitala. Gdybym chciał był zastosować obecnie zasady pruskiego jurysty, miało by to dla nich skutki, które sami mogli byli co prawda, przewidywać. Lecz ja obudziłem ich i uprzedziłem, że przed chwilą spotkałem na podwórzu dyżurnego oficera.

Zdobyłem sobie przez to ich zaufanie; to też rozchorowawszy się po pijatyce i obawiając wejść do szpitala, za co byliby źle notowani, zwrócili się do mnie o poradę lekarską. Udzieliłem im jej, jakkolwiek zabraniał mi tego regulamin.

Wspaniałomyślność „Alzatzczyka” przejęła ich osłupieniem; mogę powiedzieć, że o ile gruboskórne ich dusze posiadały zdolność uogólniania, zdobyłem ich sobie mą „uprzejmością” francuską.

Zdarzyło się w owym czasie, że podczas instrykcji jeden z podoficerów oderwał prawie całkowicie ucho żołnierzowi; wisiało na wąskim szmatku ciała i ociekało krwią; biedna ofiara wyła wprost z bólu. Przerażony, tem co uczynił, podoficer zaczął wołać:

— Idź prędzej do szpitala, by cię opatriono.

Nadbiegł lejtnant i, powiadomiony o tem, co zaszło, kazał mi iść za zranionym żołnierzem. Lekarz pułkowy przyszedł dopiero w jakie 20 minut później.

— To coś niesłychanego! to nadzwyczajne! — wykrzykiwał

Zaczął spisywać skargę pokrzywdzonego żoł-

nierza. Potem, zwracając się do mnie i dwóch obecnych rannych, rzekł tonem groźnym:

— Nie radzę wam mówić komukolwiek w koszarach czy na mieście o tem, czego byliście świadkami. Pan zwłaszcza, wolontaryuszu Ehrmann, musiałbyś odpowiadać przed nami, gdyby coś do szło o tem do prasy.

Brutalność jest w armii niemieckiej tradycją, która daje się wytlómaczyć służalczą niższymi sfer społecznych. Tam gdzie brak poczucia honoru, ludzie uciekają się nieraz do kija. Cesarz potępia jednak podobne wybryki. Nasi szefowie obawiali się więc skandalu, zarówno ze względu na najwyższego władcę, jak i na publiczność.

Mogłem być z łatwością powiadomić o zajściu dzienniki, nie narażając się zupełnie. Czy powinienem był skorzystać z tej sposobności, by zdyskredytować w oczach ogółu mój regiment?..

Pełnienie służby w szeregach niemieckich stawia Alzatzczyka wobec niejednej trudności, sędzę jednak, że główną zasadą naszego postępowania powinna być dbałość o naszą godność osobistą. Postanowiłem, że nie będę działał skrycie, posyłając zawiadomienie do dzienników. Zrobiłbym bądź co bądź rzecz brzydką, a zarazem mało użyteczną. Podczas wojny celowałem z radością, walcząc pod sztandarem francuskim, do baterii w której służyłem w wojsku niemieckim. Występowałem bowiem i narażał się otwarcie. W obecnym jednak stanie rzeczy nie udzieliłbym sztabowi głównemu francuskiemu wiadomości o tem, co widziałem i poznałem, jako wolontaryusz alzacki.

Nie z upodobania bynajmniej wdaję się w rozstrząsanie tak subtelnych problemów moralnych. Nie jest to w naturze Alzatzczyków. Ani wychowanie, udzielone mi przez ojca, ani me studia medyczne nie przygotowały mi do umiejętnej kazuistyki. Gdyby los pozwolił mi pędzić spokojną egzystencję studenta francuskiego w Nancy, lub w dzielnicy

Łacińskiej w Paryżu, nie potrzebowałbym uprawiać dyalektyki wewnętrznej. Lecz jednym ze skutków upadku politycznego i militarnego kraju jest konieczność takiego rozumowania i ważenia rzeczy pod grozą zatracenia poczucia honoru. Ten mus jest jednym z ciężkich udręczeń zwyciężonych.

XIV.

Urodziny cesarza.

W pierwszych dniach stycznia lejtnant przywołał mię do siebie, zaledwie rozpoczęliśmy ranne ćwiczenia.

— Wolontaryuszu Ehrmann!

Przez noc całą przewidywałem, że to nastąpi: Teraz zatrzymawszy się odeń o trzy kroki, opuściłem ręce wzdłuż ciała i czekałem, co mi powie.

— Spotkałem pana wczoraj w cywilnem ubraniu. Uprzedzam pana, że zawiadomię władzę, jeśli się to zdarzy raz jeszcze. Będziesz musiał odsiedzieć wówczas trzy dni więzienia.

Mógłby był dodać, że pociągnie to jeszcze za sobą dla mnie utracenie przywileju lekarskiego i skazanie na rok służby w szeregach.

Odchodząc, rzekł tonem, pełnym pychy i pogardy:

— Nie jesteś więc pan dumnym, że nosisz ten mundur?

Nie, nie byłem z tego dumnym. Zaledwie powracałem z koszar, a od listopada następowało to o godz. 6-ej wieczorem, przywdziewałem ubranie cy-

wilne, w którym dopiero oddychałem swobodnie. Nosząc mundur, musiałbym zerwać wszystkie moje stosunki. W żadnym przyzwoitym domu alzackim nie przyjmują ludzi weń przybranych. Jest to wysoką wskazówką moralną. Alzacya pragnie, by jej synowie pozostali w kraju, a więc poddali się konieczności odbywania służby wojskowej, lecz chce, by ukrywali jaknajwięcej tę smutną konieczność. Ja sam dbałem o to, by nikt nie mógł mię spotkać w mundurze; nie chciałem, by ludzie, z którymi utrzymywałem stosunki, zachowali w pamięci mój widok jako żołnierza pruskiego. To też nie ruszyłem się nigdzie: ani na wieczorynkę studencką, ani na zebranie w piwiarni alzackiej, ani nawet za sprawunkami, zanim nie zrzuciłem z siebie codzien mundur. Nadziewałem ubranie cywilne, nawet siedząc sam w domu.

Na tym jednym punkcie nie mogłem ustąpić wobec najpoważniejszych choćby pogrózek oficera. Zrozumiałem też, że z tej strony czekają mnie największe trudności.

Zanim jednak opowiem panu o nich szczegółowo, chcę dać ci poznać dokładniej trywialne środowisko, w którym żyć musiałem i opisać w tym celu uroczyste święto pułkowe w dniu urodzin cesarza 18-go stycznia.

Dyscyplina duchowa, stworzona przez cesarstwo, wyznacza religii poważną rolę, pojmuje ją jednak w sposób właściwy: w szkołach obraz Chrystusa ukrywa się w cieniu postaci cesarza; w sferach ludowych wierzenia socjalistyczne zadawalniają potrzeby religijne tłumu; oficerowie i klasy inteligentne, obojętne na rzeczy wiary, zachowują jedynie przez przyzwoitość pewne jej formy. Żyje tylko idea moralna protestantyzmu, ściśle zastosowana do ducha rasy: naucza ona skrzętniej pracy, uczucia odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi, głosi wstręt do grzechów, lecz zapomina rozwijać zmysł szlachetności, poświęcenia i bohaterstwa.

Każdej niedzieli, prowadzeni z muzyką na czele, udają się żołnierze protestancy do świątyni, katolicy zaś do kościoła. W dniu urodzin cesarza zwołano nas do koszar na godz. 10-tą, lecz na kwadrans już przedtem, zaledwie żołnierze zaczęli pokazywać się na podwórzcu, przybiegł nasz lejtnant, zdyszany i zmęczony.

— Nabożeństwo zacznie się o pół godziny wcześniej. Żywo, zbierać ludzi.

Gdy uszykowano nas w dwa rzędy, zmierzył nas bystrem spojrzeniem i zakomenderował.

— Protestanci na prawo, katolicy na lewo. Marsz!

Katolików poprowadził do kościoła podoficer, lejtnant zaś towarzyszył protestantom. Dwie kolumny ruszyły w drogę z tłumionymi śmiechami.

Przedstawienie teatralne i bal, urządzone przez pułk, stanowią główną atrakcję tej uroczystości.

Zebrałiśmy się o godz. 8-iej wieczorem, w dzielnicy Neudorfskiej, w Alkazarze, olbrzymiej sali, mieszczącej do dwóch tysięcy osób. Rozpoczęto przedstawienie od sztuki wierszowanej, w której wolontaryusze grali główne role. Fanfara regimentu pełniła funkcję orkiestry. W pierwszym rzędzie krzesel siedzieli wyżsi oficerowie pułkowi ze swymi małżonkami. Ale nagle zdarzył się wypadek, który zepsuł zabawę.

Nasz towarzysz, Saksończyk, występował w roli pierwszego kochanka. Klękał właśnie przed kochanką, oświadczając się jej z miłością, gdy pękł mu nagle na biodrze trykot, wynajęty u handlarza kostyumów scenicznych i to w chwili, gdy odwrócony był właśnie tyłem do publiczności. Żona pułkownika, siedząca na honorowym miejscu, zerwała się wnet, czerwona z oburzenia i po chwili wahania wyszła z sali. Jej sąsiadka, żona komendanta, poszła po krótkiej chwili za jej przykładem, towarzyszyli jej komendant i pułkownik. Pani kapitanowej nie wypadło

również uczynić nic innego. Nasz lejtnant, główny organizator całej fety, spłonął pąsem i rzucił się w ich ślady. Aktorzy przerwali przedstawienie; nastąpił zamęt ogólny. Lejtnant wrócił niezadługo rozirytowany.

— Pięknego mi pan splatałeś figła—rzekł do Saksończyka.—Komendant, zrobił mi wymówkę z powodu pańskiego trykotu. Śliczna historia.

Zdaje mi się, że kobiety francuskie uważałyby za najwłaściwsze nic w danym wypadku nie zobaczyć.

Po zniknięciu kwiatu towarzystwa nie rozpoczęto nazad przedstawienia. Żołnierze uprzątnęli krzesła. Było to hasłem otwarcia balu.

Lejtnanci walcowali z żonami wachmistrzów, a wolontariusze z małżonkami innych podoficerów. Po jakiejś godzinie każdy z oficerów zasiadł na ławce przed stołem w otoczeniu swych podwładnych, ich żon i ich narzeczonych i z wielką powagą zapijał, palił, a chwilami zabierał się na nowo do tańca.

Zadanie wolontariuszów polegało na „stawianiu” podoficerom i ich połowicom wina w lepszym gatunku i na traktowaniu żołnierzy i ich „narzeczonych” piwem i cygarami. Zjednałem sobie uznanie, kazawszy podać nad zwykły program kielbasek z chrzanem.

Nie roszyć pretensji do nadmiernej delikatności, ale na tem zebraniu poznałem najbardziej płaską trywialność. Jestem pewny, że w Paryżu istnieją bale publiczne, bardzo przyjemne i ożywione. Nie szukając tak daleko, mamy w Strasburgu kobiety o typie nerwowym i wykwintnym, wyglądające przy Niemkach na arystokratki. Gdy zdarza się czasem, że któraś z nich ulegnie pociągowi do jakiegoś profesora lub oficera—cywilizuje go wprędce i skłania ku Francji, zdarza się to jednak rzadko i na naszym balu były li tylko i wyłącznie Niemki. Żony podoficerów

stykały się tam, bynajmniej tem nie dotknięte w swej godności, z dziewczynami najniższej kategorii.

Zona naszego wachmistrza była wysoką, tęgą blondyną, o jasnych oczach i włosach, ściągniętych mocno w tył głowy. Miała czarną jedwabną spódnicę i fioletowy aksamitny stanik z przodem z żółtego jedwabiu. Była to jeszcze jej suknia ślubna, do której w miarę stopniowego tycia przybył stanik fioletkowy, a w końcu przód kanarkowy. Swoją drogą, korpulencya jej rozsadzała te szaty. Na olbrzymich rękach miała czerwone męskie rękawiczki na jeden guzik (i to największy z pewnością numer). Na nogach, obciągniętych w białe pończochy, trzewiki wyglądały na jakieś czarne worki. Swoją drogą wszakże, gdy przestawała tańczyć, wyglądała na jakąś Walkyrię. Nadawał jej może taki wyraz jej nos duży i prosty z nozdrzami bez najmniejszego wygięcia, lub szczególnego wykroju górna warga. Całość postaci była bojownicza. Nadawały się do niej, miast wachlarza, pancerz, lanca i tarcza.

Nie twierdzą bezwzględnie, by wszystkie kobiety obecne na balu, były brzydkie. Ale Alzatek doznaje w atmosferze germańskiej jakiegoś nieokreślonego wrażenia, które psuje mu zabawę i przyjemność.

Jeden z podoficerów miał ładną młodziutką żonę, która tuliła mi się do serca, gdy z nią tańczyłem. Po walcu usiadła przy mnie z jednej strony, z drugiej zainstalował się jej mąż, zasypując mnie komplementami w nadziei hojnych libacyi. Kobiecina spoglądała na mnie słodkimi oczyma i chwyciwszy mnie za kolano, wyszeptwała:

— Mój mąż jest bardzo zazdrosny. Miej się pan na baczności i każ jeszcze przynieść wina. Kiedy się upije, damy sobie z nim radę.

Lecz nie miałem zamiaru czynić zamachu na honor tego człowieka, od którego zależałem w godzinach służby stajennej.

Oficerowie opuścili już byli wszyscy salę. Żołnierze kurzyli ogromne cygara, kleli i wymiotowali po kątach. Jasnowłosa piękność posunęła tak daleko sympatyę dla ciemnowłosego Alzaczyka, że próbowała odegrać komedję zemdenia. Skorzystałem z tego, by wymknąć się szybko na powietrze i swobodę.

XV.

Zyskuję uznanie w regimencie.

Dzięki szybko zapadającej nocy zimowej, mogłem w dalszym ciągu wychodzić prawie codzień wieczorem w kostymie cywilnym. Ale pewnego razu w począdku marca, towarzysząc do teatru mym kuzynkom, spotkałem się twarz w twarz z jakimś lejtnantem.

Wahałem się przez chwilę, czy powinienem mu się uklonić. Czyż i w cywilnem ubraniu pozostawałem zależnym od hierarchii wojskowej? Ale doprowadziłbym go do zbytnej wściekłości, udając, że go nie widzę. Ukloniłem mu się więc jak mogłem najgrzeczniej.

Spędziłem noc okropną. Ważyłem w myśli skutki tego spotkania: rok cały, dwanaście miesięcy służenia w szeregach! Wyrzucałem sobie gorzko moją nieostrożność.

Dzień rozpoczął się od ćwiczeń w maneużu. Lejtnant spoglądał na mnie surowym wzrokiem, czynił mi uwagi za najmniejszą niedokładność, mówił do mnie twardo choć grzecznie. Czulem, że wzbiera w nim gniew, który wybuchnie lada chwila.

Ja sam starałem się wywiązywać jaknajlepiej z ćwiczeń, lecz wewnętrzne me rozdrażnienie wzmagalo się z każdym momentem. I oto nagle nadszedł komendant.

— I cóż panie lejtnancie, czy twoi pupile uczą się już woltyżu?

— Tak, panie komendancie, potrosze.

Nie było w tem słowa prawdy. Nigdy nie pokazywano nam woltyżu.

— Chciałbym to zobaczyć — rzekł komendant.

Wówczas lejtnant przywołał jednego z żołnierzy, wysypującego maneż trocinami i kazał mu prowadzić konia za uzdę wolnym truchtem.

Każdy z czterech wolontaryuszów miał kolejno skoczyć na tego konia z tyłu.

Jurysta pruski i przemysłowiec saksoński wspięli się dość wysoko, lecz siąść nie zdołali. Biedny gruby Bawarczyk okazał się wprost śmiesznym. Komendant krzywił się wyraźnie, a lejtnant był równie wyraźnie zaniepokojony. Nareszcie przyszła kolej na mnie. Czułem potrzebę pokazania całej dobrej woli, a że jednocześnie byłem mocno podniecony, skoczyłem z takim rozpędem, że znalazłem się aż na szyi konia i tak gwałtownie, że zwierzę potknęło się, a ja wyciągnąłem się jak długi na ziemi. Komendant podjechał ku mnie natychmiast, zbliżył się również i lejtnant, żołnierz zbierał się pomagać mi do wstania, lecz ja zerwałem się już na nogi.

— A do licha! to był skok wspaniały! — zao-piniował komendant.

Lejtnant zaczerwienił się z radości. — Komendant nie dodał ani słowa więcej, spojrzął na mnie życzliwie i pożegnał lejtnanta z rozkosznym uśmiechem:

— Bardzo panu dziękuję, panie lejtnancie.

Zawrócił konia i odjechał. W chwilę potem lejtnant zbliżył się do mnie, niby przypadkiem i rzekł tonem bardzo sztywnym i suchym:

— Umie wychodzić po cywilnemu, ale umie też skakać.

Co miało oznaczać: wybaczam ci twój występpek.

Odtąd z coraz większym zapałem przywdziewałem kostyum cywilny.

Inni wolontaryusze spotykali mię często. Zazdrościli mi wyraźnie i z ironią dość podstępna i zjadliwą mówili między sobą:

— Ah, tak, Ehrmann, ten który wychodzi zawsze po cywilnemu.

Ci lojalni Niemcy widzieli w tem pewien afront.

— Trzeba przyznać dowodzili, że Ehrmannowi zbyt już nie podoba się mundur.

Pozostawiałem te uwagi bez odpowiedzi. Wogóle nie spoufaląłem się z nimi, a jednocześnie starałem się dać im przez całe me postępowanie wysokie pojęcie o kurtuazji francuskiej.

Podczas tej pędzonej z nimi wspólnie egzystencji, skazującej nas w jednych i tych samych godzinach na jednakową pracę, jednakowe gesty, stanowiąc takąż jak oni składową część tego samego mechanizmu, należąc do jednej z nimi sfery społecznej, czułem w nich zawsze ludzi obcych mi zupełnie. Oni doznawali wobec mnie tegoż samego wrażenia. Nieraz przypominali sobie w mej obecności, prowadzone poprzednio rozmowy, a ze słów ich wnioskowałem, że ja to dostarczałem niewyczerpanego przedmiotu do tych rozmów. Czasami wypowiadali się wobec mnie wyraźnie:

— Wiesz, Ehrmann, że niepodobna sobie wyobrazić człowieka mniej od ciebie stworzonego na wojkowego.

Wykonywałem jednak wszystkie ćwiczenia w sposób bardzo zadawalniający. Moi towarzysze zarzucali mi głównie brak sztywności, a właściwie ma giętkość francuską. Patrzyli na mnie zdaleka, gdy zbliżałem się do nich i wykrzykiwali ze świętem oburzeniem, jak wobec jakiegoś skandalicznego faktu:

— No spójrzcie tylko, jak on chodzi.

I śmieli się, choć w ich wesołości czuć było podrażnienie; ja znów myślałem z pewną dumą, że wszystkim czem różniłem się od nich, wydawało się tym ludziom „zwyczajem francuskim”. Baczyłem pilnie, by pozostać godnym przedstawicielem Francji, gdy już uczyniły mię nim okoliczności. W życiu codziennem Francuzi różnią się od Niemców większą pogodą i uprzejmością, wycuciem odcieni, wspaniałomyślnością, wreszcie altruizmem. Dla Francuza istnieją inni ludzie po za nim.

Nie dokonałem oczywiście, podczas mego pobytu w wojsku nic bohaterskiego ani nawet ciekawego; dni moje płynęły w ciasnym kole życia koszar w czasie pokoju. Jednakże w kilku drobnych zupełnie wypadkach postępowanie moje uderzyło mych towarzyszków Niemców. Przytoczę panu choćby fakt: Pewnego ranka na chwilę przed codziennym przeglądem, zobaczyłem, że jeden z mych kolegów, który stał poprzecznie, wsparłszy się o mur, był całkowicie z tyłu obielony. Zapóźno już było, by mógł wrócić do siebie, zdjąć mundur i oczyścić go należycie. Czekala go kara. Zbliżyłem się doń szybko i strzepnąłem, jak mogłem, pył ręką, a następnie chustką. Zdziwienie mych kolegów wobec tej uprzejmości nie znało granic, a że wiedzieli, że nie zbywami na dumie i miłości własnej, powzięli, jak mi się zdaje, po tym fakcie pewne wątpliwości co do „wyższości” ich grubiańskich procederów.

Wogóle grubość obyczajów Niemców z najwyższych nawet sfer mieszczańskich i zachowanie ich bardzo nieraz niesmaczne, muszą razić Francuzów dość nawet nieociosanych. Nie wiem, czy należy przypisać te wady brakowi kultury, czy jakiej specjalnej organizacyi duchowej.

W owym czasie ojciec mego Saksończyka otrzymał był od króla godność szlachecką. Cesarz pragnie i pożąda włączenia do arystokracji wielkich przemysłowców i finansistów, chcąc uzyskać dla obe-

negu ustroju poparcie ludzi, posiadających fortunę. Niedawno znany handlarz skór mianowany został baronem. Ojciec naszego towarzysza przysłał mu kosz win reńskich, a on zaprosił wolontaryuszów swej baterji na wypicie ich wspólne. Wyda się panu mniej naturalnem, niż ludziom obdarzonym niemieckimi żołądkami, że uczta ta odbyła się o 11-ej zrana, czyli bezpośrednio przed południowem śniadaniem. Nie mogłem być odmówić przyjęcia w niej udziału, lecz chcąc uniknąć konieczności odwzajemnienia się za grzeczność, zapraszając kolegę do mnie, przyniosłem ze sobą wielki pasztet. Moi Niemcy wyrazili swą opinię o tym postępku temi słowami:

— Oto jak wyobrażamy sobie uprzejmość francuską.

Te drobne wypadki, które wypływały naturalnie z codziennego toku życia, nie nadają się do opowieści. W stosunkach mych z towarzyszkami zachowywałem wielką uprzejmość, nie czyniąc jednocześnie nic, coby mogło „obniżyć” Alzatkę w ich oczach. Byłem dobrym kolegą i oddawałem chętnie usługi; będąc zaś nieraz pożytecznym mym kamratem, uzyskałem nad nimi pewną przewagę. Oczywiście nie było między mną i nimi wylania i otwartości, nie było wspólnych pijatyk i pogawędek. Unikałem wszelkiej poufalości, lecz ponieważ ja — Alzatek, zmuszony byłem utrzymywać stosunki z nimi, Niemcami, chciałem, by nie mogli odmówić mi szacunku, pragnąłem przekonać ich całem mem obejściem o wyższości naszych obyczajów.

Mogę śmiało powiedzieć, że już w czwartym miesiącu mego pobytu w pułku, Francya odniosła w mej osobie ostateczne zwycięstwo. Tryumf mój został uświęcony przez przegląd naszej baterji, dokonany przez generała.

Przedstawiono mu nas w maneżu. Pułkownik, komendant i kapitan otoczyli go kołem, słuchając jego uwag, podczas gdy nasz lejtnant, czerwony

i sztywny, kazał wykonywać nam różne ćwiczenia. Głos wiązał mu w gardle. Był tak zmięszany, że gdy objeżdżaliśmy tor truchtem, mając mur po prawej stronie, zakomenderował nagle: — Na prawo! Ja jechałem na przedzie. Rzecz nie była możebną do wykonania, w szeregu rozległ się lekki pomruk. Jednakże Niemcy tak są przywykli do wypełniania ślepo rozkazów, że gdyby na czele jechał był któryś z nich, poprowadziłby z pewnością innych wprost na mur, mówiąc sobie, że to już rzeczą lejtnanta co z tego wyniknie. Lecz ja zawróciłem na lewo i wszyscy za mną. Lejtnant kazał nam jeszcze wykonać kilka ćwiczeń, następnie generał, który nie przerwał ani na chwilę rozmowy, powińszował mu uprzejmie.

Wyjechaliśmy z maneżu, ustępując miejsca innej baterii. Lejtnant zbliżył się do mnie i pogłaskał życzliwie mego konia.

Wolontaryusze dziwowali się memu postąpieniu.

— No, no, Ehrmann, masz bo odwagę! potwarzali jeden za drugim.

Nazajutrz zrana lejtnant przywołał mię do siebie natychmiast po przybyciu do koszar.

— Pókaż pan będziesz dobrym żołnierzem, starającym się pełnić wzorowo służbę, możesz wychodzić w cywilnem ubraniu, jak często zechcesz. To rzecz podrzędna. Ale radzę ci strzedz się mych kolegów, którzy nie będą może na to równie jak ja wyrozumiali.

Powiedział to tonem na pół przyjaznym, na pół sztywnym i zarazem bardzo militarnym.

XV.

Ostatni dzień.

Nadszedł nareszcie 31 marca, ostatni dzień mego pobytu w koszarach.

Z rana uregulowałem w administracji różne rachunki, następnie poszedłem żegnać się z oficerami. Udałem się kolejno do pułkownika, komendanta i kapitana. Około godz. 11-tej spotkałem na podwórzu koszarowem lejtnanta. Zatrzymałem się o trzy kroki od niego.

— Panie lejtnancie—rzekłem — wolontaryusz Ehrmann ma honor zawiadomić pana o ukończeniu terminu jego służby.

Salutował mię uprzejmie i, pozwolewszy mi opuścić obowiązującą pozę, po raz pierwszy wyciągnął do mnie rękę.

— To prawda, już pan czas swój odsłużyłeś. Nie takie to straszne, jak się napozór wydaje. Łatwiej panu poszło, niż sądziłeś z początku... Teraz będziesz prawdopodobnie prowadził dalej swe studia... Kiedyż zamierzasz pan odbyć swe pół roku służby jako lekarz?

— Za trzy lata, panie lejtnancie, po ukończeniu egzaminów państwowych.

— Liczę, że spotkamy się kiedyś w klubie oficerskim.

Rzekł to tonem przyjaznym, nie przywiązując do słów swych wielkiej wagi. Nie odpowiedziałem nic. Milczenie moje zdziwiło go widocznie, gdyż dodał sucho:

— Sądzę, że po odsłużeniu owych sześciu miesięcy pozostaniesz pan jeszcze w wojsku przez sześć tygodni, ażeby uzyskać stopień młodszego lekarza?

— Nie mam zamiaru — rzekłem tonem jaknajspokojniejszym—odbywać dodatkowej służby i ubiegać się o stopnie, które wskutek tego mógłbym otrzymać. Każda strata czasu waży wiele w karierze medycznej.

Cofnął się o kilka kroków. Był sztywny i twardy i patrzył na mnie badawczo. Stałem znów w obowiązującej pozie.

— Jesteś pan na fałszywej drodze, wolontaryuszu Ehrmann. U nas (na słowo to położył nacisk) trzeba zawsze dążyć do zdobycia wyższej rangi w wojsku; ranga daje szacunek i poważanie.

Wyraz mej twarzy nie podobał mu się widocznie, gdyż zaczerwienił się i mówił dalej coraz ostrzejszym głosem:

— Powiedz pan raz wreszcie prawdę; przyznaj się, że wy, Alzatzycy, nie chcecie być oficerami niemieckimi.

Nie mogłem pominąć milczeniem pytania, zadanego mi tak wyraźnie, a pod żadnym pozorem nie wyparłbym się na tym punkcie mego wewnętrznego przekonania. Zresztą myślałem, że jutro już pułk opuszczę, że jutro człowiek ten nie będzie miał żadnej władzy nademną.

— Panie lejtnancie — rzekłem—odpowiem panu wyraźnie, ponieważ żądasz pan tego. Przyznaję więc otwarcie, że nasze tradycje i nasze przywiązanie do Francji czynią nam ciężką służbę w sze-

regach niemieckich. Dlatego też odbywamy ją w możliwie najkrótszym czasie.

Spokojna szczerść mej odpowiedzi wywarła na nim przez chwilę dodatnie wrażenie, lecz wnet przemówiła obrażona pycha.

— Przyznajesz się więc pan, że nie chcesz być pruskim oficerem. Czynimy ci zaszczyt, ofiarowując ci wyższy stopień, a ty jesteś tak zuchwałym, że go odmawiasz. Przez przywiązanie do Francji! I ośmielasz się powiedzieć mi to w oczy! Ależ Francya drwi sobie z was po prostu. I trzeba być szalonym, po stokroć szalonym, jak jesteście wy wszyscy w tym przeklętym kraju, by nie rozumieć, że powrotne zajęcie przez nas tej prowincji jest waszem szczęściem. Zawdzięczacie nam ład i zdrowie fizyczne i moralne.

Ta jedna chwila rozmowy dowiodła, na jak sztucznych podstawach opierały się nasze wzajemne stosunki, które jednak były poniekąd współpracą. Ukazała nam się znana oddawna prawda: byliśmy odwiecznymi wrogami. Stałem wyprostowany i nieruchomy, lecz oczy moje, utkwione w jego oczach, mówiły wyraźnie myśl moją... Doprowadziło go to do takiej wściekłości, że wybuchnął całym potokiem wulgarnych wymysłów i tyrad o rozkładzie Francji, która lży swą armię i swą religię, odrzuca wszystkie autorytety, ale będzie wreszcie pokonaną ostatecznie przez Niemcy i przestanie świat sobą zakażać... Ale nagle przestraszył się mej bladej twarzy—drżałem zresztą cały z wściekłości—i, zrozumiawszy, że odgrywa rolę prowokatora, przerwał w środku zdania, odwrócił się i odszedł.

Znajdą się może ludzie, którzy powiedzą, że powinienem był go uderzyć. Nie jestem tego zdania. Nie chciałem ulegać wywołanemu przez przypadek uniesieniu. Słowa jego nie przysięgły mi bynajmniej; przeciwnie, byłem podniecony, rozegzaltowany, pełen poczucia siły.

Jak w pierwszych dniach po wstąpieniu do

wojska, gdy oparłem się pokusie nęcającej mię dezercyi—umiałem i teraz posłuchać głosu rozumu i nie uleść chwilowemu porywowi. Widząc przed sobą żywo zadanie, dla którego pozostałem był w Alzacyi, chciałem wytrwać wiernie w służeniu mym celom. Niespodziewany wybuch pyszałkowatego Prusaka nie powinien był zepchnąć mię z wytkniętej drogi. Zapanowując nad sobą, dowiodłem mu, że jestem z rasy zwyciężonych, którzy zachowują świadomość swej wewnętrznej wyższości i nie poddają się zwycięzcy.

Odszedłem, pełen wiary w mą siłę moralną i w mą władzę nad samym sobą. Ani jedna kropla krwi alzackiej nie została dotąd zgermanizowaną. Nigdy nie czułem równie wyraźnie, że jestem synem Alzacyi i Francyi, jak w tym właśnie momencie, pod wrażeniem brutalnego postąpienia pruskiego oficera.

Wbiegłem tak hałaśliwie na drugie piętro, gdzie mieszkał nasz olbrzym wachmistrz, że mogłem być rozbudzić ze snu cały regiment. Żona podoficera i on sam zalewali się łzami: dnia tego umarło im jedyne dziecko, trzyletnia córeczka. Biedny kolos nie zdolny był nawet myśleć o przybraniu odpowiedniej swej godności miny. Uścisnąłem mu rękę, a idąc do restauracyi, zboczyłem nieco z drogi, by obstałować wieniec dla dziecka.

Moi towarzysze siedzieli już za stołem i zdziwieni byli bardzo, gdy im opowiedziałem powód mego spóźnienia.

— Ro co było kupować wieniec? Wszak dziś opuszczasz służbę.

Nazajutrz z samego rana, gdy upajałem się namiętnie odzyskaną swobodą, do pokoju mego wbiegł nagle wachmistrz. Chwyił mię za obie ręce i szlochał głęboko. Zdaje mi się, że miał ochotę mię uściskać.

— Jesteś pan człowiekiem wielkiego serca, panie Ehrmann! I okazałeś mi je w chwili, gdy nie

mogę ci już być w niczem pożytecznym. Panie, nie wolno mi nie przyznać, że *Francuzi* więcej od innych mają *ludzkości*.

Francuzi! Nazwał mię Francuzem. To było ostatnie słowo, jakim pożegnały mię koszary niemieckie, jedno z najśłodszych słów, jakie usłyszałem w życiu.

ZAKOŃCZENIE.

Tak brzmiała opowieść Alzaczyka Ehrmanna.

Ton jej był twardy i jakkolwiek starałem się zachować w tem „sprawozdaniu” całą jej siłę i szlachetność, musiałem jednak wygładzić pewne zwroty. Być może, że zadowolenie, jakim przyjmują Ehrmanna jego obyczaje i zachowanie francuskie, wywołałoby uśmiech na usta jakiegoś płochego Paryżanina. Zauważamy również u niego pewne cechy prowincjonalne, które — mniej lub więcej słusznie — nazwanoby w Paryżu germańskimi. Lecz są to rzeczy małej wagi; pyły pogranicza na mundurze żołnierza. Czynią mi one miłszym jeszcze tego młodego obywatela z nad wybrzeży Renu, który jest spadkobiercą myśli francuskiej.

Z opowieści jego wydziela się prawdziwe piękno moralne! po za tem jest ona odpowiedzią na problemat, który stawiałem sobie na górze Ś-tej Odylii, żywą odpowiedzią czynu, a nie rozwiązaniem ideologa.

Pobył mój na Ś-tej Odylii nauczył mię racy bytu Alzacyi, pokazał mi, na czem polega od wieków jej zadanie. Nie wiedziałem jednak jak zdołają dzisiejsi Alzaczycy przejawić swą niezłomną wolę

nie poddawania się obcym wpływom. W jaki sposób pozostanie ta marchya narzędziem cywilizacyjnem Francyi. I nadaremnie zadawałem sobie te pytania.

Nie podobna liczyć w obecnych czasach, by węzły jakichś wierzeń religijnych mogły zachować Alzację Francyi, jak za czasów Odylii, gdy katolicyzm zdobył tę krainę dla świata łacińskiego! Wojowniczy temperament synów Alzacyi nie wystarcza również, by zjednać ich Francyi; wszak i spóczesne Niemcy hołdują cnotom militarnym. Nie mogą wiązać ich z nami interesy ekonomiczne; protekcyonizm francuski zmusza ich do wysyłania swych produktów w kraje przeciwnego wybrzeża Benu. Na czem więc oprzeć wpływ Francyi w Alzacyi i Lotaryngii?

Młody Ehrmann rozstrzygnął to pytanie.

Po ciężkich zawodach przychodzi naturalnie zupełnie okres próżnych biadań lub bezsilnych pogroźek. Jest to jednak dowodem słabego ducha. Na co zda się jątrzyć stare rany? Na co posłużyć żyć w ciągłym podrażnieniu i w stałym poczuciu jakiejś niższości? Młodość Ehrmanna uchroniła go od oglądania własnymi oczami katastrofy roku 1870, która oddziałała w sposób tak przygnębiający na całe pokolenie. Życie jest mu łatwiejszem do dźwignania, niż tym, którzy byli naoczniymi świadkami nieszczęścia i mogą dziś zmierzyć ogrom zmian zaszłych. Uważa Alzację za krainę francuską, mimo, że nie zarządza już nią prefekt z ramienia Francyi, mimo, że francuskie pułki nie stoją już w koszarach na placu Austerlitz i że zakłady przemysłowe Mülhuzy nie wysyłają już swych produktów do Paryża! Straszna wojna roku 1870 zmieniła postać tych rzeczy, lecz nie pozbawiła pana Ehrmanna delikatności i dumy, które stanowią poczucie honoru w znaczeniu, jakie nadają mu Francuzi, nie pozbawiła francuskiej wytwórczości obyczajów, nie pozbawiła krwi, która mu szepce, gdy słucho głosu swe-

go serca: „Raczej nie żyć, niż pędzić żywot, w którym będą gwałcone dążenia mej duszy”.

Fałszywie wogóle stawiano kwestyę, zastanawiając się nad tem, czy Alzaccyicy powinni pozostać na swej ziemi, czy też się wysiedlać. Część ludności emigrowała, inni nie zdecydowali się opuścić rodzinnego kąta. Zachodziła obawa, że obydwa rozwiązania pozostaną jednakowo bezpłodnemi dla tych, którzy nie widzieli jasno zadania, jakie mieli do wypełnienia. Pokazuje je nam Ehrmann. Alzacczyk powinien mieć zawsze żywo w pamięci, że na jego treść duchową złożyły się te same wpływy, które stworzyły umysłowość francuską:

— Oto czego nas uczy swym przykładem.

Ciągnąć sercem do Francyi, a służyć Niemcom—wydawało się to nie jednemu głębokiem poniżeniem, ruiną moralną, czemś wysoce demoralizującym i niezdrowem. Najwięcej trzeźwi nawet ludzie przewidywali, że taki zatarg wewnętrzny zrodzi hypokryzję i wszystkie ujemne strony niewoli. Ehrmann pokazał nam, że może się dziać inaczej. Stojąc wobec sytuacji niewyraźnej, dwuznacznej, umiał ująć swe czyny w karby dyscypliny moralnej, pozbawionej może glori i chwały, ale poważnej i trwałej, pomnej dobytku przeszłości i patrzącej w przyszłość.

Ehrmann jest postacią typową, wylaniającą się z ciemni otaczających nas niepewności. Stanie się panem położenia i stworzy nowe życie, zgodne z odwieczną tradycją Alzacyi. Na tej ziemi, z której zniknęli nasi żołnierze, na której szczęk broni rozległ się po raz ostatni przed 32 laty, niezliczeni „wolontaryusze”: lekarz wobec swej klienteli, adwokat w przybytku sprawiedliwości, przemysłowiec i właściciel ziemski — mogą jeszcze pełnić służbę Francyi, tak jak pełnił ją Ehrmann w swym regimencie. Każdy z nich, w sferze swej działalności postawi opór wpływom niemieckim; każdy starać się będzie utrzymać na zajętem stanowisku i oddziały-

wać na innych; każdy będzie dążył do wykazania wyższości, jaką zachowała Francya mimo porażki na polu bitwy. I odnieśliby ci wszyscy „wolontaryusze“ wielki tryumf, gdyby zwyciężony wszczepił w duszę zwycięzcy zwątpienie o jego własnej cywilizacyi.

W starych koszarach na placu Austerlitz Ehrmann przedsięwziął w skromnym zakresie też pracę, jaką legionaryusze rzymscy prowadzili nad Renem a Śta Odylia na Hohenburgu. Jest przednią strażą ducha łacińskiego, obrońcą naszych bastionów wschodnich. Na służbie Niemiec pozostał, jak wówczas, gdy walczył w szeregach francuskich, tradycyjnym bohaterem alzackim.

Nie jest nim wszelako w sensie, jaki nadaje temu słowu pewna wulgarna literatura. Ehrmann, to człowiek, w którym żyje cała jego ziemia i rasa, który dobrowolnie niesie im z radością w sercu ofiarę, by pozostać wiernym swym przeznaczeniom.

Choć jest synem narodu o krwi gorącej, potrzeba nauczyła go pełnego panowania nad sobą. W koszarach niemieckich trzyma na należytej odległości swych kolegów i obmyśla ściśle wszystkie szczegóły swego wobec nich postępowania. Czy jest dla nich dobrym czy suchym — zawsze wypływa to z pobudek wyrozumowanych. Jego instynkt musi rozumować wobec przeszkód, które napotyka i w tem leży wielka, szlachetna tragedia, posiadająca ogromną doniosłość wychowawczą.

Widzi jasno, ma poszanowanie dla dokonanego faktu. Te przymioty wraz z podniosłością ducha czynią zeń prawdziwego bohatera.

Jednakże, gdy skończył swą opowieść, nie próbował nawet wyrazić mu mego zachwytu. Czy wolno mi było mówić temu Alzacykowi — Francuzowi: „Twoi zmarli błogosławić ci będą, żeś przyjął cierpienie, by służyć w dalszym ciągu myśli, którą oni żyli“. Powiedzieć mu to winny Alzacya i Francya. Lecz Alzacya milczy, a Francya mówić nie może. Ale Ehrmann nie potrzebuje za-

chęty; w epoce, gdy tylu ludzi pędzi życie bez celu, on będzie umiał znaleźć pole działania dla swych sił młodych i swej męskiej energii dla potęgi swej miłości i swej nienawiści.

Zauważyłem, że pani d'Aoury przedstawiała dlań uosobienie wszystkich przymiotów rasy francuskiej: słodką dumę, takt, miarę, pogodę uśmiechu i że z pewną naiwną radością przeciwstawił ją wszystkim kobietom niemieckim. To też sądziłem, że podziękuję mu najlepiej, mówiąc, iż powtórzę pani d'Aoury wszystko, co mi opowiedział o swej służbie w szeregach niemieckich.

— Rad temu będę — rzekł — byle tylko zechciała słuchać pana całą swą duszą córy Francyi.

K O N I E C.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	5
Rozdział I. W krainie welchów.	11
Rozdział II. Uzasadnienie słynnej nieu- fności lotaryńskiej.	20
Rozdział III. Paryżanka w Alzacyi	33
Rozdział IV. Wojna francusko-niemiec- ka toczy się w dalszym ciągu w Alza- cyi i Lotaryngii	43
Rozdział V. Zawsze jednaka i zawsze ró- żnorodna Alzacya	54
Rozdział VI. W jaki sposób odwieczne formy życia Alzacyi przystosowują się do obecnych okoliczności	68
Rozdział VII. Spuścizna	74
Rozdział VIII. Pierwszy dzień pobytu w koszarach.	87
Rozdział IX. Moje dni w koszarach.	94
Rozdział X. Przewyciężam się	97
Rozdział XI. Pojedynek się rozpoczyna.	102
Rozdział XII. Moje stosunki z żołnie- rzami, wolontaryuszami i podoficerami.	106
Rozdział XIII. Urodziny cesarza	119
Rozdział XIV. Zyskuję uznanie w regi- mencie.	125
Rozdział V. Ostatni dzień	131
Zakończenie	137